

Krystyna Boglar

Zatrzymajcie świat, chcę wsiąść!

Fotografia na okładce: Velvet Model

Projekt okładki: Studio Siedmioróg

Redakcja: Danuta Sadkowska

Copyright by Krystyna Boglar ISBN 83-7162-580-4

Wydawnictwo Siedmioróg

ul. Świątnicka 7, 52-018 Wrocław

Księgarnia wysyłkowa Wydawnictwa Siedmioróg

WWW.SIEDMIORÓG.COM.PL

Wrocław 1999

DRUK: DOLNOŚLĄSKIE ZAKŁADY GRAFICZNE W JELENIEJ GÓRZE

I

B,

'ut, który siłą rozpędu przejechał pomiędzy rzędami foteli, nie byłby sam w sobie niczym specjalnym, gdyby nie to, że znajdowała się w nim noga. Dokładnie stopa, a raczej to, co z niej zostało. But ciągnął za sobą soczysty ślad świeżej krwi.

Ludzie siedzący nieruchomo, wprasowani w fotele obite szarą tkaniną, zachowali się racjonalnie: wytrzeszczyli oczy, wzięli głęboki oddech, a potem Wrzasnęli z siłą tysiąca decybeli.

Powstał nieopisany tumult, któremu nie mogły przeszkodzić nawet pistolety maszynowe wycelowane w tyły głów owej setki osób unieruchomionych pasami bezpieczeństwa. Samolot Polskich Linii Lotniczych LOT typu Boeing 737 przed niecałą godziną został skierowany na jedno z awaryjnych lotnisk „gdzieś w Europie”. Odbywał czarterowy lot z Warszawy na Teneryfę, jedną z Wysp Kanaryjskich, o której mawiano, że jest rajem na ziemi.

Ale znaleźli się w piekle, zanim dotarli do raj. Tylko rozrzucone prospekty lśniły kolorami błękitu i zieleni. Na jednym z nich, przedstawiającym złotą plażę pod palmami, zatrzymał się ów but, barwiąc sielski widoczek obfitą posoką w kolorze keczupu. Niestety, nie był to film, lecz, rzecz można, ponura rzeczywistość. A owi czterej uzbrojeni porywacze, przeważnie w śmiesznych, miejskich garniturach, do niedawna spokojnie siedzieli jako pasażerowie na bocznych miejscach obok napisów: wyjście awaryjne.

Tylko że na żadne wyjście, nawet awaryjne, się nie zanosilo.

J

Jedna ze stewardes, młoda blondynka z zadartym nosem, kopniakiem i wrzaskiem została zmuszona do zajęcia się nogą.

— Posprzątać! Już! I niech się nikt nie rusza z miejsc!

Siedziałam w siedemnastym rzędzie, jak wszyscy szara ze strachu, z wyschniętym podniebieniem i uczuciem, że świat się skończył. A miałam dostać w nagrodę piętnaście dni na rajskiej plaży, z możliwością zobaczenia jedynych na ziemi błękitnych papug. W zamian los ofiarował mi skurcze żołądka i widok odciętej ludzkiej stopy w bucie na gumowej podeszwie.

Stewardesa, klęcząc u moich stóp, z kredowo bladą twarzą, opanowywała uczucie mdłości. But wraz z zawartością trafił do plastikowego worka, w jakich wynosi się śmieci.

— Czyj tto bbut? — musiałam wymamrotać na głos, bo siedząca obok mnie starsza pani spojrzała z ukrytą naganą.

— Ciii... pewnie któregoś z pilotów. Czułam, jak mi żołądek podjeżdża do gardła.

— Oni nie noszą takich... byle jakich — wyjąkałam czując gwałtowną potrzebę mówienia. — Są elegancy.

— I zapewne martwi — odpowiedziała staruszka. Spojrzałam na nią zaskoczona.

— Pani się nie boi?

Wzruszyła ramionami. Miała brązową luźną suknię, wiśniową apaszkę, dobrze utrzymane siwe włosy i gęste brwi.

— Oczywiście, że się boję — mówiła głosem cichym i jakimś takim... bez wyrazu. —

Ale jestem racjonalistką, która przez siedemdziesiąt pięć lat nauczyła się, że strach bywa tak samo bezużyteczny jak lodówka w igloo.

Spojrzałam przytomniej. Ludzie zdenerwowani, przerażeni zachowywali się różnie: niektórzy, przeważnie mężczyźni, tkwili wciśnięci w fotele ze spuszczoneymi głowami, jakby bojąc się, że na ich spoconych twarzach spocznie wzrok uzbrojonych. Kobiety histeryzowały. Płakały, krzyczały, próbowały nawet uciekać. Choć nie było gdzie.

Trójka terrorystów ustawiła się tymczasem przy wejściu na pokład tuż obok toalety. Jeden z nich żuł gumę i nerwowo repetował broń.

— Tu mówi kapitan — z megafonu rozległ się spokojny głos. — Proszę państwa o spokój i absolutne posłuszeństwo. Ci panowie — cień ironii zabrzmiał niezbyt przekonywająco — mają broń automatyczną i nie żartują. Na pokładzie są już trzy śmiertelne ofiary.

Wrzask w kabinie zagłuszył słowa. Jeden z opryszków, młody człowiek w garniturze koloru marengo, przebiegł pomiędzy rzędami i wycelował broń w najbliższą siedzącą blondynkę z dzieckiem.

— Cisza! Jeszcze jeden wrzak i strzelam!

Zrobiło się cicho jak makiem zasiał. Ale setka ludzi nie potrafi utrzymać dyscypliny przez czas dłuższy od minuty. Tu i ówdzie rozległy się tłumione łkania. Szczególnie bały się dzieci.

— Mówi kapitan — głos brzmiał bardziej szorstko — oni, proszę państwa, nie żartują. Właśnie zasztyletowali mechanika pokładowego. Proszę się bezwzględnie stosować do ich żądań. Postaramy się, by na czas rokowań maksymalnie ułatwić państwu życie. Za chwilę otworzymy przejście do toalety. Chcielibyśmy też podać kanapki. Pertraktacje trwają. Samolot znajduje się...

— No tak! Wyłączyli kapitanowi mikrofon — mruknął pan z siedzenia po drugiej stronie przejścia. Jego żona piła lekarstwo z brązowej buteleczki. W powietrzu unosiła się woń waleriany, potu i jakichś chemicznych odczynników.

— Co tak śmierdzi? — spytałam całkiem bez sensu.

— Ludzie — odparła moja sąsiadka, grzebiąc w przepastnej torbie. — Chcesz cukierka? Miętówkę?

Skinęłam głową. Wydawało mi się, że świeży zapach mięty wyeliminuje to, co wisiało w powietrzu. Niestety, terrorystom widocznie smród nie przeszkadzał, bo naradzali się za niezbyt dokładnie zaciągniętą zasłoną. Jeden z nich mówił coś półgłosem do telefonu komórkowego.

— Gdzie my właściwie jesteśmy? — zastanawiał się pan w szarym swetrze, wpatrzony w ciemny otwór okienka.

— Widzę cztery gwiazdy. Jedną jasną — powiedziała pani w błękitnym golfie.

— Pewnie jesteśmy w Betlejem — mruknęłam.

Staruszka parsknęła śmiechem, ale natychmiast się opanowała.

— Sądzę, że powinniśmy zawiązać jakiś komitet! — wybuchnął, ni stąd, ni zowąd, pan ze spoconą łysiną wstając.

— Jaki?

— No... choćby obrony przed terrorystami! Ja bym... — nie udało mu się skończyć zdania. Padł na siedzenie z zakrwawioną szczęką. Ten z karabinem widać umiał nie tylko strzelać.

— Polacy zawsze zakładają jakieś komitety. Albo je podpalają. Ale nie potrafią żyć w ekstremalnie trudnych warunkach — pan w szarym swetrze przetarł twarz chusteczką nasączoną wodą kolońską.

Wciągnęłam tę woń w nozdrza, niczym dar niebios. Miał rację. Ale co z tego? „Banda czworga” też zapewne miała jakieś swoje racje. Tylko jakie? Co tu jest grane? — myślałam gorączkowo. Ktoś nas porwał. W powietrzu. Zanim samolot osiadł na jakimś bocznym pasie nieznanego lotniska w tajemniczym kraju. Kazali pilotowi lądować. Po co? Co takiego znajduje się we wnętrzu potężnego Boe-inga 737? Toż to lot czarterowy! Wycieczkowy... nie ma w ładowniach sztab złota, bezcennych obrazów lub tony narkotyków. A jeśli są? Bzdura! Teraz jesteśmy na pewno otoczeni policją! Każdy kraj, zgadzając się na lądowanie trefnego samolotu, natychmiast go otacza kordonem wojska. Tyle wiem z telewizji. Nigdy nie myślałam, oglądając te mrożące krew obrazy, że coś podobnego może przytrafić się mnie!

— Idzie! — mruknęła siwowłosa sąsiadka.

— Kto? — ostrożnie odwróciłam głowę.

Wysoka brunetka w mundurze stewardesy pchała wózek z kanapkami i piciem.

— Może to trochę uspokoi ludzi — westchnął pan w tweedowej marynarce z rzędu obok nas. — Powinniśmy pomyśleć...

— Kiedy się wlezie na minę, nie ma się zbyt dużo czasu do myślenia! — parsknęła jego żona. No, wyglądała na żonę.

Mężczyzna umilkł. Stewardesa, czując na plecach wycelowany pistolet, poruszała się jak w transie. Uśmiechnęła się tylko raz — podając kanapkę mojej sąsiadce spod okna.

— To... na razie wszystko. Siwowłosa lekko zmarszczyła brwi.

— A będzie... coś na gorąco?

— Może. Później. Jeśli... oni pozwolą...

Starsza pani musiała być bardzo głodna, bo połknęła kanapkę trzema kęsami.

Poczułam do niej ogromną sympatię. Dobrze na mnie działała. Kojąco.

— Mam na imię Ewa — wykrztusiłam, połknąwszy kawałek ogórka.

— A ja Marianna. Chciałam urządzić swoje siedemdziesiąte piąte urodziny na słonecznej wyspie. Masz pojęcie?

— Mam. Sama wyludziłam pieniądze na tę wycieczkę od rodziców. Powiedziałam im, że należy mi się nagroda. Zapomniałam tylko dodać, za co...

— Nie narzekaj. Żyjesz.

— Na razie.—Zamrugnęła rzęsami.

— Nikt ci nigdy nie obiecywał, że będziesz zdrowa, wiecznie młoda i bogata.

Poczułam złość. Nie na sąsiadkę. Na sytuację i zapach unoszący się w ciasnej przestrzeni, ślad po bucie, który, niedokładnie wytarty, krzepł w krwawą plamę koło nogi fotela. Jakoś zupełnie nie pasowałam do tego wnętrza. Takie miałam wrażenie. Moje błękitne oczy i jasne włosy z grzywką opadającą na oczy nadawały się raczej do bardziej sielskiego krajobrazu. Bo ja wiem? Może łąka ukwiecona, baranek i motylek?

Pan w tabaczkowym ubraniu, zdesperowany, nacisnął guzik wzywający obsługę. Ale

zamiast fertycznej dziewczyny pojawił się garniturowiec z przekrzywionym krawatem i lufą pistoletu, wycelowaną w nieszczęśnika.

— No?

— Moja żona musi... do toalety... — wybąkał odpinając górny guzik koszuli. Wyglądał, jakby się dusił.

Kobieta miała twarz zalaną łzami. Cienie od powiek i rozmazany tusz tworzyły na policzkach malownicze plamy. Coś z Picassa. Ale nikomu nie było do śmiechu.

— Pani idzie — stwierdził krótko porywacz, a potem, zwracając się do reszty pasażerów, wrzasnął: — Tylko po kolei! Nikt nie może czekać pod drzwiami!

Żona Tabaczkowego wzięła torebkę i zaczęła się przeciskać.

— Otworzyć! — łyknał drugi z porywaczy, trzymający karabin na wysokości brzucha.

— Co? — nie zrozumiała.

— Torbę. Otworzyć!

Rozległ się szelest suwaka. Z wnętrza poleciały: puderniczka, grzebień, klucze i cała masa drobiazgów. Na końcu mały, czerwony słonik-maskotka.

Musiał przełożyć broń do lewej ręki, by przyjrzeć się słoniowi. Zarechotał z radości, wkładając maskotkę do kieszeni.

— Ciekawe — szepnęła pani Marianna, obserwując scenę. — Musi być człowiekiem zabobonnym.

— Może sądzi, że czerwony słon przyniesie mu szczęście? — westchnęłam, bo oprawca nijak się nie mieścił w kategoriach ludzkich.

— Jeśli przyniesie jemu, to nam nie — odezwała się moja sąsiadka, lekko wzruszając ramionami. — To logiczne.

Ludzie dojadali kanapki, popijając sokiem winogronowym. To ich nieco uspokoiło. Chwył z jedzeniem był na pewno przemyślany. Nie wiadomo tylko przez kogo: czterech jaskiniowców z żelazem czy obsługę samolotu. Tę, która została przy życiu.

Żona Tabaczkowego wracała z toalety nieco chwiejnym krokiem. Zanim usiadła, wybąkała głosem zduszonym strachem:

— Tam leżą dwaj. Martwi.

— Kto? — jej mąż ocierał czoło chusteczką.

— Obaj w mundurach. Znaczą... nasi.

Już pojawiło się określenie: NASI. A zatem w zagęszczonym wnętrzu są jacyś NASI i ONI. Zdziwiło mnie, jak łatwo rozwarstwia się każda społeczność w zależności od sytuacji.

— Możliwe, że wśród naszych są jacyś inni oni? — powiedziałam, choć powinnam się była raczej ugryźć w język.

— No tak... — zmartwił się Tabaczkowy. — Oni na początku podróży byli... nasi.

— Właśnie.

Pan w szarym swetrze wstał. Ruszył przejściem w kierunku napastników. Na wszelki wypadek trzymał ręce wyciągnięte nad głowę.

— Bo to, proszę pani, my jesteśmy tchórzliwym narodem! Po co on trzyma łapy w górze? Nikt mu nie kazał! — spojrzałam na tęgą kobietę w bluzce w kwiaty.

— Boi się.

— I co z tego? Można się bać z godnością, no nie?

Pani Marianna zaklaskała w dłonie. Musiał to być gest aprobaty.

— Słusznie. Ale, widzi pani, i tak go obmacali.

— Może tu jeszcze inni mają broń? — wysapała Kwiecista.

Pani Marianna przekrzywiła głowę. Miała nieco ptasi profil. Stwierdziłam to z przykrością. Nie wiem dlaczego. Moja sąsiadka obdarzona latami, doświadczeniem i

niezwykłą precyzją myśli powinna być idealna w każdym calu.

— Mówi kapitan — głośnik trzaskał, zagłuszając poszczególne sylaby — pro... by... kt... nie... dził drzwi.

— Jezu, niech ktoś przetłumaczy — poprosiła pani w błękitnym golfie.

W tym momencie przestałam się bać. Nie wiem, jaki diabeł wstąpił we mnie, ale uniosłam się z fotela i bardzo wyraźnie akcentując zgłoski wyjaśniłam:

— Kapitan prosi, by nikt nie podchodził do drzwi.

Część pasażerów spojrzała na mnie jak na osobę kompletnie obłąkaną.

— Skąd... skąd wiesz, że chodzi o drzwi? — pani Marianna nie miała tak dogodnego wglądu w sytuację koło toalety, jak ja.

— Otwierają drzwi! — wrzasnęła ta, która wypiła już całą wale-rianę.

Ludzie zerwali się z miejsc, gotowi pędzić na złamanie karku. I usiedli tak samo szybko.

Grzechot pocisków wystrzelonych w sufit zagłuszył nawet płacz dzieci.

— Siadać! — łyknał porywacz, zmierzając się znów do serii. Przeszkodzili mu dwaj pozostali, otaczając go i odbierając broń.

— Cholera! — wył ten w zielonej maiynarce. — Czym polecimy dalej, jak rozhartujesz kabinę! No?

Młody mężczyzna, ubrany w szary garnitur, najwyżej dwudziestolatek, miotał się jak oszalały. Pozostali musieli przygwoździć go do ściany, nie pozwalając na najmniejszy ruch. Gdy już przestał toczyć pianę z ust, wyprowadzili go za zasłonę do przedniej, pustej części samolotu.

— Jednego oszołoma mniej — wyszemrał Tabaczkowy. —

A gdybyśmy ich...

— Idiota! — wrzasnęła żona. — No, idiota! — dodała ciszej. Coś się działo na zewnątrz maszyny. W panujących ciemnościach nie można było jednak dostrzec nikogo. Wlepiłam, aż do bólu, wzrok w ciemny owal okienka.

— Może pani coś widzi?

— Dalekie światła reflektorów. Chyba samochodowych. Niestety, nie jestem pewna... — zawiesiła głos. — O, do licha... idą!

Ludzie z lewej strony samolotu przywarli nosami do niewielkich szybek. Tymczasem prawa strona jak zahipnotyzowana wpatrywała się w czarną postać, która, niczym diabeł z pudełka, pojawiła się w przejściu między rzędami. Na moment oderwałam wzrok od okienka i też zamarłam w bezruchu. No, ten wyglądał na porządnego terrorystę! W czarnym kombinezonie i kominiarce na twarzy. Jedyne jasne otwory to oczy i nos.

— Jesteśmy Bojownikami o Wolność — powiedział donośnym głosem. — Nikomu nic się nie stanie, jeśli go nam wydacie.

Odpowiedzią była głucha cisza. Nawet czterolatek przestał chlupać i patrzył ciekawymi ślepkami na diabła z szopki. Tak zapewne go sobie wyobrażał.

— Powtarzam: jak go nam wydacie!

— Ko... kogo? — odważył się zapytać siwy pan w okularach na czole. Widać używał ich wyłącznie do czytania.

— Pseudonim: King. Ci, którzy go znają, wiedzą, o kogo chodzi. Za godzinę zaczniemy zabijać. Po jednym z pasażerów. Lepiej się dogadajcie. Z ludźmi Kinga. Według naszych informacji zostało ich już tylko dwóch. Jeden nie żyje. Chciał uciec... więc odrąbaliśmy mu nogę. Wykrwawił się. To na razie.

Czarny cofnął się do pakamery, w której normalnie urzędują stewardesy.

W kabinie czuło się narastającą grozę. Sytuacja nagle skomplikowała się jeszcze bardziej. Okazało się, że są dwie bandy. Ta, która

I 2

porwała samolot, chcąc zabić Kinga. I druga. Do której poszukiwany należał. A sądząc z tonu czarnego, był nawet ich przywódcą.

— No, niech wstanie ten King! — zawołała tleniona blondyna w kwiecistej bluzce.

— Chcesz, draniu, żeby przez ciebie zginęła setka ludzi?

— A co to dla takiego wysadzić samolot? — Pan w tabaczkowej maiynarce składał i rozkładał mokrą od potu chusteczkę.

— Może to pan? — atakowała tleniona.

No, teraz się zacznij! — pomyślałam nie bez dozy lęku. Wszyscy mężczyźni są podejrzani! Wszyscy. Oprócz tajemniczego Kinga, czyli mówiąc po polsku: Króla, jest na pokładzie jeszcze jeden jego człowiek. Zabitych trzymają gdzieś za zasłoną. Stopa wraz z butem leży pewnie w śmietniku. Ciekawe, gdzie w samolocie wrzuca się wszystkie śmieci?

— Mój mąż nie jest żadnym Kingiem! — rozplakała się pani od waleriany. —

Nazywamy się Kotlarscy. Mąż jest z zawodu muzykiem. Gra na fagocie. W filharmonii.

Blondyna uspokoiła się. Pewnie to zasługa fagotu. Wszystkim się wydało, że muzyk nie może być terrorystą. Wprost nie wypada.

— Najlepiej niech każdy powie, kim jest — zakończyła występ Kwiecista.

Ludzie rozglądali się po sobie.

— My jesteśmy zakonnicami — odezwała się ubrana w habit starsza kobieta o pooranej zmarszczkami twarzy. — To jest siostra Biygida — wskazała na dużo młodszą towarzyszkę. — Ja mam na imię Genowefa. Od świętego Franciszka.

— A pod spódnicami kałasznikowy! — zarechotał łysiejący trzydziestolatek.

— Wstydyłbyś się, Zdzisiu! — szturchnęła go siedząca obok brunetka o mlecznobiałej cerze. — Zamilcz lepiej!

— Sam widziałem film na kasecie! — tłumaczył się zawstydzony. — Grzały spod habitów ołowiem, aż się kurzyło!

Siostra Genowefa wstała, pociągając za rękę przerażoną Brygidę.

— Proszę. Może ktoś chce nas obszukać. Byle nie publicznie. W toalecie. Jesteśmy zakonnicami. Nie mamy nic wspólnego z tym... wszystkim. Proszę, żeby już nie było podejrzeń.

13

Jeden z trzech napastników, ten, który trzymał przy uchu aparat telefoniczny, przyjrzał się zamaszystym habitom.

— To jest myśl.

— Pan nas nie będzie rewidował! — Ton siostry Genowefy brzmiał ostro i bezkompromisowo,

Mężczyzna wzruszył ramionami.

— Dobra. Kogoś się wybierze. Co myślisz, Rodan?

Czarny przechadzał się wolno wzdłuż samolotu, uważnie przyglądając się twarzom.

Kogo wybierze? — myślałam zaciskając powieki. — Tylko nie mnie! Ale widać

zapomniałam, że zawsze, ilekroć o czymś myślałam negatywnie, sprawdzało się!

Głównie na egzaminach. Kiedy nie najlepiej przygotowana nie chciałam odpowiadać, marzyłam zamykając oczy: Tylko nie ja! Nie ja! I zawsze na mnie padało. Teraz też.

— Ty!

Poczułam mrowienie na plecach i przerażającą suchość w gardle. Siedziałam dalej

z zaciśniętymi powiekami licząc, że to sen, z którego zaraz się obudzę, prosząc o śniadanie. Niestety. Otaczała mnie dość ponura rzeczywistość. Ostry ból w lewym barku przypominał, z kim naprawdę mam do czynienia.

— Powiedziałem: ty!

Otworzyłam oczy. Żeby mu spojrzeć w białe otwory, musiałam się lekko odwrócić. Ucisk lufy karabinu nie zelżał. To, co zobaczyłam, było doskonale skonstruowanym żelastwem, znanym mi wyłącznie z filmów z Sylwestrem Stallone. Płaski srebrno-czarny metal z długą, lśniąca lufą i wygodnym spustem, na którym tkwił męski palec w czarnej rękawiczce. Skórzanej. Nie było rady. Musiałam się podnieść. Nasz wzrok się spotkał. W środku obu dziur tkwiły niczym guziki oczy w kolorze rozjarzonego kryształu. Nie wiem, dlaczego pomyślałam, że mężczyzna pewnie jest przystojny. Takie babskie, głupie skojarzenie.

— Co mam robić? — mój głos brzmiał niczym blaszany, wyszczerbiony garnek.

— Obszukać je.

Wzruszyłam ramionami. Strach nagle gdzieś odleciał. Może dlatego, że wszystko to przypominało raczej marny amerykański film

14

dla niedorostków. Dopóki nie przyjrzałam się trupom. One były realne. Szklane oczy jednego z pilotów wpatrywały się w sufit oświetlony żółtawymi lampkami. Wstrząsnął mną dreszcz. Pierwszy raz w życiu widziałam nieboszczyka. Zakonnice nie odzywały się. Stały ze spuszczonego wzrokiem i rękoma złożonymi jak do modlitwy. Czy się naprawdę modliły za zmarłych? Kto to wie...

Weszliśmy do toalety. Porywacz nie pozwolił całkiem zamknąć drzwi. Nieporadnie przesuwałam dłońmi pod habitem siostry Brygidy. Nie umiałam tego robić.

Wstydziałam się. I znów przypominało mi się kino: tam się obmacuje każdą nogę z osobna, bo mały rewolwer może tkwić za cholewą buta lub poniżej kolana.

Siostra stała z nogami szeroko rozstawionymi. Miała ciężkie półbuty i czarne pończochy. Wyżej nie śmiałam sięgnąć. Poklepałam ją po brzuchu i pod pachami.

— Nie ma broni — powiedziałam do tego, który teraz stał przy drzwiach. Miał na sobie zieloną marynarkę. Jak świeża trawa.

— A nóż?

— Ma siostra nóż? — wyszeptałam.

Pokręciła przecząco głową. Ale widać o czymś sobie przypominała, bo bąknęła równie zduszonym głosem:

— Mam nożyczki.

— Proszę oddać. Tak będzie lepiej. Ale... jak siostra przeszła przez bramkę na lotnisku? — zdziwiłam się. — Musiało brzęczeć jak cholera!

Brygida walczyła z tasiemką, na której wisiała para maleńkich nożyczek do paznokci.

— Nie wiem. Chyba... siostry Genowefo, czy myśmy przechodziły przez jakieś bramki?

— Cicho tam! — wrzasnął facet w marengo, wtykając czarną lufę przez szparę. — Nie gadać!

Podaliśmy mu nożyczki.

— Jasny gwint! — wrzasnął. — A mówi się, że lotnisko na Okęciu jest bezpieczne! Nie chciałam pytać, jak on sam dostał się do samolotu z tą kupą żelastwa. Fakt, nowoczesnego!

15

Jeden z trzech napastników, ten, który trzymał przy uchu aparat telefoniczny, przyjrzał się zamaszystym habitom.

— To jest myśl.

— Pan nas nie będzie rewidował! — Ton siostry Genowefy brzmiał ostro i bezkompromisowo,

Mężczyzna wzruszył ramionami.

— Dobra. Kogoś się wybierze. Co myślisz, Rodan?

Czarny przechadzał się wolno wzdłuż samolotu, uważnie przyglądając się twarzom.

Kogo wybierze? — myślałam zaciskając powieki. — Tylko nie mnie! Ale widać zapomniałam, że zawsze, ilekroć o czymś myślałam negatywnie, sprawdzało się! Głównie na egzaminach. Kiedy nie najlepiej przygotowana nie chciałam odpowiadać, marzyłam zamykając oczy: Tylko nie ja! Nie ja! I zawsze na mnie padało. Teraz też.

— Ty!

Poczułam mrowienie na plecach i przerażającą suchość w gardle. Siedziałam dalej z zaciśniętymi powiekami licząc, że to sen, z którego zaraz się obudzę, prosząc o śniadanie. Niestety. Otaczała mnie dość ponura rzeczywistość. Ostry ból w lewym barku przypomniawszy, z kim naprawdę mam do czynienia.

— Powiedziałem: ty!

Otworzyłam oczy. Żeby mu spojrzeć w białe otwory, musiałam się lekko odwrócić. Ucisk lufy karabinu nie zelżał. To, co zobaczyłam, było doskonale skonstruowanym żelastwem, znanym mi wyłącznie z filmów z Sylwestrem Stallone. Płaski srebrno-czarny metal z długą, lśniącą lufą i wygodnym spustem, na którym tkwił męski palec w czarnej rękawiczce. Skórzanej. Nie było rady. Musiałam się podnieść. Nasz wzrok się spotkał. W środku obu dziur tkwiły niczym guziki oczy w kolorze rozjarzonego kryształu. Nie wiem, dlaczego pomyślałam, że mężczyzna pewnie jest przystojny. Takie babskie, głupie skojarzenie.

— Co mam robić? — mój głos brzmiał niczym blaszany, wyszczerbiony garnek.

— Obszukać je.

Wzruszyłam ramionami. Strach nagle gdzieś odleciał. Może dlatego, że wszystko to przypominało raczej marny amerykański film

14

dla niedorostków. Dopóki nie przyjrzałam się trupom. One były realne. Szklane oczy jednego z pilotów wpatrywały się w sufit oświetlony żółtawymi lampkami.

Wstrząsnął mną dreszcz. Pierwszy raz w życiu widziałam nieboszczyka.

Zakonnice nie odzywały się. Stały ze spuszczonego wzrokiem i rękoma złożonymi jak do modlitwy. Czy się naprawdę modliły za zmarłych? Kto to wie...

Weszliśmy do toalety. Porywacz nie pozwolił całkiem zamknąć drzwi. Nieporadnie przesuwając dłońmi pod habitem siostry Brygidy. Nie umiałam tego robić.

Wstydziałam się. I znów przypomniawszy mi się kino: tam się obmacuje każdą nogę z osobna, bo mały rewolwer może tkwić za cholewą buta lub poniżej kolana.

Siostra stała z nogami szeroko rozstawionymi. Miała ciężkie półbuty i czarne pończochy. Wyżej nie śmiałam sięgnąć. Poklepałam ją po brzuchu i pod pachami.

— Nie ma broni — powiedziałam do tego, który teraz stał przy drzwiach. Miał na sobie zieloną marynarkę. Jak świeża trawa.

— A nóż?

— Ma siostra nóż? — wyszeptałam.

Pokręciła przecząco głową. Ale widać o czymś sobie przypomniawszy, bo bąknęła równie zduszonym głosem:

— Mam nożyczki.

— Proszę oddać. Tak będzie lepiej. Ale... jak siostra przeszła przez bramkę na lotnisku? — zdziwiłam się. — Musiało brzęczeć jak cholera!

Brygida walczyła z tasiemką, na której wisiała para maleńkich nożyczek do paznokci.

— Nie wiem. Chyba... siostrze Genowefo, czy myśmy przechodziły przez jakieś bramki?

— Cicho tam! — wrzasnął facet w marengo, wtykając czarną lufę przez szparę. — Nie gadać!

Podalam mu nożyczki.

— Jasny gwint! — wrzasnął. — A mówi się, że lotnisko na Okęciu jest bezpieczne! Nie chciałam pytać, jak on sam dostał się do samolotu z tą kupą żelastwa. Fakt, nowoczesnego!

15

Siostra Genowefa sama ułatwiła mi zadanie, unosząc habit na tyle, ile to było możliwe. Przesunęłam palcami, wyczuwając jakiś twardy, kwadratowy przedmiot.

— To książeczka do nabożeństwa. Dziecko, naprawdę nie mam strzelby. Żadnej.

— Ani pilnika, nożyczek, otwieracza do konserw?

Jej niebieskie oczy w siateczce zmarszczek były pełne bólu. Nieprzewidziane oględziny musiały na niej zrobić duże i przykre wrażenie.

— Nie mam nic. Ale zmówimy obie z siostrą Brygidą modlitwę za zmarłych,

Chciałam powiedzieć: proszę jeszcze poczekać, może dojdą inni, jednak w porę ugryzłam się w język.

— Są czyste — powiedziałam głosem nie znoszącym sprzeciwu. Niestety, nie zadowoliliam tyrana w czarnej kominiarce.

— Wszystkie kobiety. Po kolei. Stewardesa będzie przyprowadzać. Ta brunetka.

— Jest ich za dużo! — jęknęłam. — Ja...

Poczułam ból w dolnej części szczęki. No, nikt dotąd mnie nie uderzył w ten sposób! To był cios raczej bokserki. Łzy pociekły mi po policzkach. Raczej z wściekłości niż z fizycznego cierpienia.

— Rób, co każę!

Przez następne dwie godziny oglądałam rewię mody bieliznia-nej. Poznałam kolory majtek i staników. A także rajstop wszystkich współpasażerek. Szczęka mnie bolała, dłonie puchły, palce przypominały ugotowane ziemniaczane kopytka. Odebrałam cztery ostre, plastikowe pilniki, sześć grzebieni. Wysłuchałam nieprzebrane morze chamskich słów, choć nie były one bezpośrednio do mnie skierowane. Kiedy umęczona wróciłam na swoje miejsce, sąsiadka podała mi zimną, mokrą chusteczkę pachnącą alkoholem.

— Przyłóż do podbródka. Ból minie.

— Dziękuję, pani Marianno. To była straszna praca. I naprawdę nie sądziłam, że Polki potrafią kłać jak dorożkarze.

Nagle zaczęło się nowe pandemonium. Czarny zabierał po kolei wszystkich mężczyzn. Nie zadawał sobie trudu wpychaniem ich do toalety. Spokojnie i systematycznie obmacywał nieszczęśników na oczach setki pasażerów. Żadnej broni nie znaleziono. Ani osławionego już Kinga. Dzieci znów płakały, toaleta pomału się zapychała, smród wisiał w powietrzu, więc z tym większą nadzieją wlepiliśmy wzrok w drzwi samolotu, które się nagle otworzyły, wpuszczając strumień rzeńskiego powietrza.

— Pertraktują! — rzucił pan z pierwszego rzędu.

— Z kim?

— Niewiele widać. Na zewnątrz jest ciemno. I nie ma schodków. Za to stoi ten w marynarce marengo z bronią wycelowaną...

— Mają doskonały cel! Powinni go sprzątnąć! — wysyczał łysiejący blondyn. — Na co czekają?

— Nie mogą! — zdenerwowała się pani z kokiem. — Trzyma przed sobą stewardesę.

— Fachowcy! — Żona fabrykanta zabawek, tak się bowiem przedstawił chudy i brodaty z trzeciego rzędu, zaczęła się wachlować gazetą. — Kiedy trwają pertraktacje, nikt do nikogo nie strzela — powiedziała autorytatywnie.

Zgodziłam się z nią w duchu. Też pewnie oglądała ten sam film. Boże, kiedy to się skończy? Pani Marianna wysuwała z torby pier-siówkę. I paczkę chusteczek. Zmieniłam okład.

— Nie przypuszczałam, że lubi pani koniak — wyszeptałam, bo facet w zielonej maiynarce przechadzał się wzdłuż foteli.

Mrugnęła okiem.

— Czasami. Wiesz, czemu się dziwię?

— Nie.

— Że dotąd nie zrobili rewizji.

Rzeczywiście. Nie zrobili. A powinni. Skoro szukają jakiegoś Kinga, który jest ich osobistym wrogiem, a wróg, jak wiadomo, musi być w dzisiejszych czasach uzbrojony — to dlaczego, u Boga Ojca, nie przeszukali samolotu. Wszystkie schowki nad naszymi głowami pełne są płaszczy, kurtek, swetrów i innych bambetli. Wśród nich można ukryć uzbrojenie dla pułku Legii Cudzoziemskiej! Spojrzałam na sąsiadkę. Siedziała skurczona, z głową odchyłoną i przymkniętymi powiekami. Wydała mi się cierpiąca.

— Źle się pani czuje?

— Tak, muszę iść do toalety. Pomożesz mi?

2 — Zatrzymajcie świat...

1 7

I

Wstałam i natychmiast usiadłam przygwożdżona kolbą.

— Nie wstawać!

— Ale... ta pani musi do toalety. To starsza osoba...

Drzwi dotąd otwarte zamknęły się automatycznie. Świeże powietrze przestało napływać. Ale we wnętrzu samolotu można już było swobodnie oddychać. Niektóre kobiety zaczęły wkładać swetry. Prawda. Zima. I tuż przed Wigilią. Nasz lot na Grań Canaria miał trwać około ośmiu godzin. Wszyscy chcieli spędzić święta i sylwestra nad błękitną laguną wśród szumiących palmowych liści. I co?

I nic.

Moja sąsiadka zacisnęła usta. Zdecydowana była dotrzeć do toalety za wszelką cenę. Nasz oprawca wyczuł jej determinację, bo machnął lufą.

— No. Już!

— Iść z panią? — szepnęłam.

Skinęła głową. Przeciskałyśmy się wzdłuż rzędów foteli. Dopiero teraz spostrzegłam, że jest osobą niezbyt szczupłą i dość wysoką. Jej piękne siwe włosy z błękitnym odcieniem lśniły w świetle jarzeniówek.

Czarna Maską — bo tak nazwałam w myślach faceta w kominiarce — obszukiwał właśnie niewysokiego mężczyznę w swetrze o norweskim wzorku. Miał szarą, zmęczoną twarz i rzadkie włosy. Pani Marianna precyzyjnie przycisnęła się obok i utknęła w jakichś tobołkach. Na pomoc pospieszyła czarnowłosa stewardesa.

— Pomóc pani? Źle się pani czuje?

Moja sąsiadka zatrzepotała dłońmi, niczym zestrzelony ptak tuż przed pikowaniem na ziemię. Stewardesa w ostatniej chwili podtrzymała ją przed upadkiem.

Zmartwiłam się. Staruszka wydawała się dotąd pełna energii. Nawet humoru. A teraz...

— Co jej jest? Zemdląła? — Poczułam szarpnięcie za lewą nogawkę spodni. Pytająca też była starszą kobietą w niebieskim blezerze i śnieżnobiałej bluzce.

— Nie wiem — odpowiedziałam, bo taka była prawda. — Dotąd czuła się dobrze.

— Nazywam się Borkowska. Stanisława — dorzuciła przecierając szkła okularów. — Może się na coś przydam?

— No... nie wiem — zawahałam się. — Jest z nią stewardesa.

— Ale ja jestem pielęgniarką. Dyplomowaną — dorzuciła. — Mogłabym pomagać... Skinęłam głową. To przydatne przy konieczności opanowania setki zmęczonych, przerażonych ludzi i, na szczęście, tylko czworga małych dzieci.

— Zapytam Czarną Maskę. Jak skończy obmacywać mężczyzn. Nie wiem, dlaczego postanowiłam obłaskawić właśnie tego

z terrorystów, który walnął mnie w szczękę. Może prawdziwa jest teza, że pomiędzy ofiarą a katem nawiązuje się tajemnicza nić porozumienia? Jednakże nie jest możliwe, by oprawcy pokochali nagle wszystkie swoje ofiary. Było nas zbyt wielu. Ich mało. Z moich obserwacji wynikało, że liczyli się tylko dwaj: facet w kominiarce i ten w marynareczce koloru trawy. Oni najczęściej wymieniali między sobą uwagi. Czwarty, ten idiota, który opróżnił magazynek robiąc durszlak z podsufitki, gdzieś zniknął za zasłoną. Czekając na panią Mariannę, która już dość długo tkwiła w toalecie, zrobiłam parę cennych obserwacji. Po pierwsze, gdzieś zniknęły zwłoki. Wszystkie. Chyba je wyniesiono, lub raczej wyrzucono, gdy drzwi samolotu stały otworem. Po drugie — tuż obok nóg Czarnej Maski znajdował się kwadratowy obłys. Coś jak kłapa, którą można przedostać się do brzucha boeinga. Pewnie właz. Po trzecie, w samolotowej kuchence piętrzyły się tacki z jedzeniem. A jeszcze dalej stały metalowe wózki. Z sokami, alkoholem. Miały szczelnie zamknięte boki i służyły do przewożenia również gorących posiłków.

Pani Marianna wyszła dziwnie blada. Jej twarz pokrywały plamy oraz krople potu lub może wody. Chwilę odpoczywała oparta o jeden z wózków.

— Odprowadź ją — mruknęła czarnowłosa stewardesa. — Choruje na serce.

— Ja mam leki! — zerwała się pielęgniarka z drugiego rzędu. Nie zdążyła sięgnąć do schowka nad głową, gdy rozjuszony terrorysta z całej siły uderzył ją w bark. Przysiadła jęcząc z bólu.

Odwrociłam się do Czarnej Maski, który kończył obszukiwać szczupłego dziesiętnastolatka z ostatniego rzędu.

/ 9

— Niech pan powie tym swoim... dupkom, że bicie starszych kobiet to oznaka tchórzostwa! — wrzasnęłam.

Doprawdy, czasem we mnie wstępuje stado diabłów. Gdybym wiedziała, jak na to zareaguje! Jeszcze zanim skończyłam zdanie, poczułam tuż nad głową ciężkie żelastwo. To rozwścieczony Trawiasty chciał mi zadać druzgocący cios. W tej samej sekundzie Czarna Maską odepchnął go tak nieszczęśliwie, że poleciał wzdłuż przejścia, przewracając się na czyjejs podstawionej nodze. Nie koniec na tym. Jego śmiercionośne cudo wylądowało na kolanach pasażera spod okna. Ten złapał broń za lufę i wrzeszcząc coś zupełnie niezrozumiałego, zaczął nią kręcić młynka nad głową niczym Rambo w „Pierwszej krwi”.

Powiało grozą. Siedzące obok niego dwie kobiety wpadły w histerię i też zaczęły się drzeć, aż uszy puchły. Ludzie są tylko ludźmi. Zapanował taki chaos, jakby

kończył się świat. Jedni żądali od zdobywcy, by natychmiast strzelał do terrorystów, inni, widać usposobieni bardziej pokojowo, by oddał broń. W krzyku, bałaganie i tumulcie Czarna Maska miał dwa wyjścia: posunąć serią po wszystkich lub to, co zrobił. Celnie rzucony stalowy nóż ugodził nieszczęśnika w samo serce. Padł na oparcie, brocząc krwią. Teraz Zielona Maiynarka mógł już bez przeszkód odzyskać swoje żelastwo. Dwie siedzące obok trupa kobiety wreszcie umilkły. Obie leżały zemdlone. Nie patrzyłam, jak wynoszono nowego nieboszczyka. Czułam, że to moja wina. Może gdybym nie oskarżała ich o tchórzostwo, facet spod okna, zupełnie niewinny, mógłby żyć. Ale on też nie zachował się jak mężczyzna. Jak można wywijać nad głową pistoletem maszynowym trzymanym za lufę? Czy nigdy nie był w wojsku? Takie... chuchro. Pewnie mu załatwiono odroczenie... Pani Marianna wtoczyła się w swój fotel i mogłam wreszcie usiąść.

— Lepiej się pani czuje? — spytałam.

— Bo ja wiem? Ty ich więcej nie prowokuj, Ewa. Inaczej wszyscy zginiemy.

— Przepraszam. Poniosło mnie.

Odchrząkiwała zmieniając tembr głosu. Coś jej najwyraźniej utkwilo w przetyku. Bez namysłu wcisnęłam guzik wzywający obsługę. Czarna przyplęnęła natychmiast.

20

— Coś podać?

— Starszej pani chyba lekarstwo utkwilo w gardle. Połykała jakieś pigułki — relacjonowałam, kątem oka obserwując Zielonego. Wyraźnie był na mnie cięty. Jego grdyka latała niczym piłeczka tenisowa. A wzrok mógł zetrzeć z powierzchni ziemi.

Stewardesa najwidoczniej kierowała się ludzkimi uczuciami. I chyba polubiła moją sąsiadkę. Uśmiechała się swoim LOT-owskim uśmiechem, dziwnym, zważywszy na fakt, że liczba trupów w boe-ingu rosła wręcz zastraszająco.

— Przyniosę wodę. I paczkę czipsów. Pani Marianna przełknęła wreszcie pastylkę.

— Takie... dmuchane jedzenie? Moje wnuki je uwielbiają.

— Serowe — dorzuciła czarnula, boki wymijając porywacza, który uparcie tkwił koło mojego fotela.

— Chyba będę następna! — wycedziłam. — Cholera, nie chcę umierać! — czułam, jak paroksyzm strachu nagle zjeżył mi włosy. W gardle, tam i z powrotem, jeździła mi kula. Czy też piłeczka...

Uratowały mnie znów drzwi. Otworzyły się automatycznie. Zielony natychmiast pogalopował w ich pobliże. Nie widziałam dokładnie, co tam się dzieje. Jakoś nie chciałam zbytnio kusić losu.

Ale ludzie są ciekawscy. Nawet w tak ekstremalnych warunkach.

Tylko dopiero co docucone kobiety głośno płakały.

— Kogoś wynoszą! — teatralnym szeptem donosił pan Kotlarski. Wkładał swoją tabaczkową marynarkę, bo znów powiało grudniowym chłodem. — Nie, chyba... ktoś wchodzi...

— Więc wynoszą czy wnoszą? — denerwował się łysiejący Zdzi-sio Kondek. — Może wreszcie ktoś nas wyratuje?

Jego żona, o wspaniałej mlecznej cerze, okryła się szalem.

— Zdzisiu, usiądź! Tylko sobie biedy napytasz!

Na zewnątrz coś się działo. Dochodziły stamtąd dziwne dźwięki. I choć w samolocie panował hałas, najwyraźniej usłyszałam kroki na wysokości lewego skrzydła.

— Pani Marianno — szepnęłam — słyszy pani? Ktoś chce do nas dotrzeć.

Przywarła nosem do szyby.

— Nic nie widzę. Nikogo tu nie ma.

21

Stewardesa przywlokła wór chrupek. Były obrzydliwie żółte.

— Proszę. To zabija głód. Wie pani... — pochyliła się konfidencjonalnie — coś się dzieje. Wojsko otoczyło samolot.

— Już przed dwoma godzinami to zrobili!

— Ale teraz chcą koniecznie mówić z kapitanem. Stąd wiem, że Pawłowski wciąż żyje. I nic mu nie jest. Nie wiadomo jak długo. Podobno — pochyliła się jeszcze niżej — rozmawiają po angielsku.

— No, niech pani nie przesadza! — jęknęłam. — Nie uwierzę, że tak szybko przylecieliśmy do Londynu!

— Bazy amerykańskie są w Europie — wyjaśniła cierpko. — Między innymi we Włoszech. Na Sycylii.

— Jezu! — jęknęłam łapiąc się za głowę. — Porwali nas terroryści, żeby dopaść jakiegoś Kinga. A teraz otacza nas sycylijska mafia gadająca po angielsku! To zbyt wiele jak na odporność mojego organizmu!

Jednak rzeczywiście coś się działo. W ciemnościach zapalały się dalekie światła. Potężny reflektor wysyłał smugi omiatające cielsko boeinga. Bulaje co i raz rozjarzały się niczym bombki na choince. Ludzie przywarli nosami do grubej, zmrożonej szyby.

— Jakież cienie — meldował półgłosem Komornicki.

— Dużo ich? — dopytywała się nasza sąsiadka w kwiecistej bluzce.

— Nie. Widzę trzech. Chyba z psami.

Drzwi znów się zamknęły z cichym stuknięciem. Uzbrojona trójka naradzała się w przedniej części samolotu.

— Że też akurat nam musiało się to przytrafić! — biadoliła pani Basia. Jej wspaniałe czarne włosy rozsypały się wokół twarzy. Odwróciła głowę, słysząc głośny płacz. To żona zasztyletowanego pomału przychodziła do siebie. Zastanowiłam się, co ja bym zrobiła na jej miejscu. Przed minutą mąż był. I nagle go nie ma. I nigdy już nie będzie. Co w ogóle może odczuwać kobieta, którą spotkał taki los? Postanowiłam coś zrobić. Chociażby przemyśleć sytuację. Nigdy nie byłam bohaterką. Szczęśliwie ominęły mnie groźne zakręty naszej historii. Niegdysiejsze zawirowania polityczne mojego kraju, strajki stoczniovców nie obchodziły mnie bardziej niż wojowie Bolesława Krzywoustego.

22

Druga wojna i szwedzki potop to jedna, dość nudna i przeraźliwie daleka chwila. Zamknięta w podręczniku do historii, szczęśliwie już dość dawno odłożonym na pawlacz. Tak, wiem. Każda historia wymaga jakichś ofiar. Niektórym po latach przypinają order. Lub nie. To zależy od przypadku. Sprawiedliwości nie ma. Bo i być nie może. Nikt, faktycznie, nie obiecał mi, że zawsze będzie słońce. Żal mi biednych murzyńskich zagłodzonych dzieci w Afryce. Ale te kraje są o świetlne kilometry od naszego samolotu. Być może o nas też nadają wieczorne wiadomości od Londynu po Bangkok.

— Na pewno mówią o nas w telewizji — powiedziała unosząc wzrok.

Ludzie zareagowali tak, jak powinni: nadzieją.

— A pewnie! W wieczornych Wiadomościach! — ucieszył się Zdzisio Kondek. — Może nas nawet sfilmowali!

— A ja? — wyszeptwała żona zabitego. — Jak ja mam żyć? No, powiedzcie? Jak? — jej głos rósł o oktawę. Przebijał szmei rozmów, trwożył, powodując paraliż myśli.

Wstałam i usiadłam obok niej. Zrobiłam to spontanicznie. Bezmyślnie. Jakbym

potrafiła znaleźć odpowiedź na jej egzystencjalne pytania. Sama przecież nie wiedziałam, jak po tym wszystkim będę żyć. I czy będę.

— Chce pani porozmawiać?

Chlipała, niezdarnie wycierając łzy moką chusteczką. Nacisnęłam guzik. Zamiast czarnej pojawiła się drobniejsza blondynka. Ta sama, której w udziale przypadło likwidowanie nogi wraz z butem. Musiała już zapomnieć o koszmarnym incydencie, bo znów miała przszyty do warg, niczym guzik, sztuczny uśmiech rodem z pokładów PLL LOT.

— W czym mogę...

— Paczkę chusteczek i coś mocniejszego — szepnęłam wstając. — Pani jest żoną tego...

— Wiem — przerwała mi blondynka. — Przyniosę koniak.

Ludzie, ci siedzący najbliżej, starali się zachowywać w miarę poprawnie. Pytali, jak pomóc, co zrobić i czy nie trzeba waleriany. Nalewając ostro pachnący bursztynowy płyn do plastikowego kubeczka, stwierdziłam ze szczerym zdumieniem, że ludzie pomalut-

23

ku opanowali Wielki Strach. Że się przystosowują do zaistniałych warunków i starają się żyć w nich możliwie bezkonfliktowo. Większość z wycieczkowiczów pojęła już oczywistą prawdę, że nie wyzwolimy się sami „siłami ludu” ani zbrojnym powstaniem narodowym. To naprawdę nadzwyczajne, jak szybko moi rodacy posiadli tę umiejętność i potrafili ją błyskawicznie zastosować. Na dodatek zaczęła się tworzyć więź. Wspólnota powstała nie z woli, lecz z sytuacji.

— Proszę wypić. Duszkiem! — powiedziałam stanowczo. Kobieta nie sprzeciwiła się. Przełknęła alkohol, jak się połyka

lekarstwo. Wytarła oczy, nos i spojrzała mi w twarz całkiem przytomnie.

— Dziękuję.

— Nie ma za co. Wszyscy jesteśmy w trudnej sytuacji.

— Ale on nie żyje. Bronek.

Co miałam powiedzieć? Pocieszać? Bzdura! Nikt nie chce być pocieszany dla samych słów. Nie znałam ich zresztą.

— Nie żyje — przytaknęłam. — Będzie się pani musiała z tym pogodzić. I trwać dalej.

Miała brązowe oczy w ciemnej oprawie. Wiek niejasny. Czterdziestka albo więcej. Są takie kobiety o nieokreślonej urodzie. Jedno, co mnie dziwiło, to fakt, że jej towarzyszka zmieniła miejsce. Siedziała w tyle samolotu, zapłakana i milcząca.

— Ale on już dawno... odchodził.

— Kto? — spytałam niezbyt przytomnie.

— Mój mąż. Bronek.

Staralam się ze wszelkich sił, by nie zadać głupiego pytania.

— Tak?

— Do niej. Do Teresy.

Ale drama! — pomyślałam przetykając ślinę. Okazuje się, że świeża wdowa właściwie już wcześniej została samotna i porzucona.

— To... ta druga pani? Co tu siedziała?

— Tak. On ją kochał. Bronek.

Wydmuchałam powietrze z płuc. Więc mamy dwie wdowy. Za życia faceta siedziały razem. Teraz osobno. Czy to ma znaczyć, że mężczyzna był spoiwem tej skądinąd zapewne trudnej przyjaźni?

— A... pani?

— Co: ja? — spytała całkiem logicznie.

Szybko nalałam brandy do pustego kubeczka. Trzymała go w obu dłoniach, jak się trzyma gorący napój, by sobie ogrzać zziębnięte palce.

— Razem panie leciały na wycieczkę?

Wiem, nie powinnam była. Ale nie potrafiłam zrozumieć sytuacji. Nie mam doświadczenia. Moje dziewiętnaście lat upłynęło na rzadkich podbojach blondynów i brunetów, bez żadnej konsekwencji czy zbytniego żalu, gdy znikali. Ja też znikałam.

— Ona jest chora — spojrzała na mnie wzrokiem proszącym

O zrozumienie.

— To znaczy?

— Ma raka. I niewiele miesięcy przed sobą. Odetchnęłam głęboko. Chyba było słychać świst powietrza wydobywającego się z moich płuc.

— Trudny trójkąt. Pokiwała głową.

— Pani nie wie, jak on ją kochał. Znaczy... Broniek. Pamiętałam jego twarz jak przez mgłę. Wciąż widziałam trzonek sztyletu, wystający z marynarki. Może dlatego, że był taki realny.

I niecodzienny. Nikt o zdrowych zmysłach nie zwraca uwagi na kolor krawata czy kołnierzyka. Ale krótki, ostiy nóż? To się pamięta.

— Czy... — czułam, że ona czeka na jakąś moją reakcję — miał zamiar rozwieść się z panią?

— Z początku miał. Ale potem... jak się dowiedział, że może nie zdążyć...

Wyrachowanie? Facet liczy dni, tygodnie? Wie, że sąd jest może sprawiedliwy, ale okropnie nierychliwy! Nie oplaca się występować z pozwem? Za drogo? No tak... i można nie zdążyć...

— I co?

— Jak to co: odszedłby ode mnie. Pokręciłam głową.

— Czy to nie dziwne? Czuł się dobrze tylko wtedy, gdy miał was obie? Razem? Skinęła głową.

— Tak. Tak było. Widać życie samo rozwiązuje najtrudniejsze węzły.

— Chce się pani nią zająć? No... jest śmiertelnie chora...

— Teresą? Nigdy! O, już nigdy!

Była naprawdę kobietą wolną. Jednym haustem wypila potężną dawkę alkoholu. Na jej mizerne policzki wypływały różowe plamy.

— Dobrze by było się przespać — powiedziałam, bo tylko tyle przyszło mi do głowy. — Niestety, w takim hałasie.

— To nic — powiedziała wyciągając dłoń z pustym kubkiem. Zobaczyłam grubą, złotą obrączkę, jakich nikt już dzisiaj nie nosi. — To nic. Wypiję i zasnę. Wiesz... dziękuję, że mogłam o tym porozmawiać. Naprawdę dziękuję.

Z butelką w dłoni szłam na swoje miejsce. Skołowana i kompletnie oszołomiona.

— Pani da ten koniak! — usłyszałam głos pana Zdzisia. I zobaczyłam las wyciągniętych rąk. Oddałam butelkę. Sama nie piję nic prócz czerwonego wina. Najlepiej, żeby to było włoskie chianti w bukłaczku oplecionym rafią. Usiadłam obok pani Marianny, której ogromne jak na kobietę stopy tkwiły w dość ciężkich mokasynach. Odwróciła twarz od okienka.

— Gdzie byłaś?

— Siedziałam przy anonimowym źródle wiarygodnej informacji.

— Jakiś kapuś? Spojrzałam na jej siwe włosy.

— Żartuje pani?

— A słyszysz śmiech? Terrorystów mamy ostatnio taki urodzaj, że obok węgla mogą się stać naszym głównym towarem eksportowym!

Zachichotałam. Organizm sam odreagowywał stres.

— Właściwie... dlaczego oni przestali szukać tego Kinga? I kim on jest? Szefem konkurencyjnej bandy?

Spojrzała swymi wypłowiałymi oczyma. Wciąż miała zaczerwienione policzki, lekko pokryte warstwą pudru. Był zbyt jasny, prawie biały. Ale nie chciałam robić starej damie przykrości, więc nic nie powiedziałam.

Z tyłu samolotu, z ostatniego rzędu rozległy się ostre głosy. Nie

26

byli to napastnicy, lecz pasażerowie głośno czegoś się domagający. Czego? Nie wiedziałam. Krzyczała jakaś kobieta w zielonym swetrze.

— Przestańcie, natychmiast przestańcie!

— Hołota, nie umie się zachować! — wtórował inny żeński głos, wysoki i piskliwy.

— Co wam się zdaje, że tu jest burdel? Nie możesz się powstrzymać, gnoju?

Nie wytrzymałam. Uniosłam się, opierając dłonie na podglówku fotela. Zobaczyłam dziewczynę o długich, jasnych włosach, mocno pochyloną nad oparciem. Nad nią górował chłopak, prawie leżąc na jej plecach. W pierwszej chwili nie zrozumiałam tej dziwnej konfiguracji. Dopiero po chwili krew uderzyła mi do głowy.

— Oni się normalnie pieprzą! — wybuchnął Zdzisio Kondek.

— To jeszcze nie powód, żeby się wyrażać! — zajazgotała chuda spod okna.

Dziewczyna miała zaciśnięte powieki i wyraz twarzy, którego się nie zapomina.

Całkowita ekstaza. Przypomniałam ją sobie w ułamku sekundy.

— To ta, która nie miała na sobie majtek! — wybąkałam. — Pamiętam, bo ją obszukiwałam w toalecie.

— Duża wygoda — stwierdziła pani Marianna. — Tak powinno być.

Zdumienie odebrało mi mowę. I kto to mówi? Siedemdziesięcio-pięcioletnia dama pamiętająca tak zwane „dawne, dobre czasy”?

— Zdziwiał mnie pani — wyszeptałam.

— A ty? Nosisz bieliznę?

Kiwnęłam głową. Należałam do tych, które noszą nawet staniki. Znów się obejrzałam. Dziki wyraz zniknął z twarzy młodzietkiej dziewczyny. Podciągała spodnie ruchem tak naturalnym, jak czynią to dzieci w piaskownicy. Chłopak odrzucił z czoła długie pasmo włosów. Zapinając rozporek miał w oczach radość świata.

Ale sąsiedzi młodej pary nie przestawali wrzeszczeć w pełni oburzenia. Nie mogło to nie przywołać oprawców.

— Cisza! Co to za jazgoty! — wrzasnął blondyn w marengo. Miał teraz czarne okulary, co mu nadawało właściwszy wygląd.

Nareszcie zapadła cisza. Chciało mi się śmiać i płakać. Jednocześnie. Po prostu ludzie są tylko ludźmi. Zaakceptowawszy nietypową

27

sytuację, trwającą już od czterech, godzin wyrażali zbiorowy protest w sprawie... moralności. Bo jedno być porwanym, a drugie zezwolić na bezceństwo. I to publiczne. Moralność Polaków tkwi w ich korzeniach. Ja staram się żyć według własnych zasad. Chcę być tak zwanym porządnym człowiekiem. Ale nie wierzę w Najwyższego, w dobro płynące z wiary i sprawiedliwość wiekuiącą. Uważam, że religia jest niezbędna tym ludziom, którzy w żaden inny sposób nie potrafią

wytłumaczyć sobie wiedzą lub choćby intuicją doznawanych przeżyć. Ja wierzę w naukę i szare komórki. Bo taką będę miała przyszłość, jaką wiedzę zdobędę dziś. No, chyba że wysadzą w końcu ten samolot w powietrze. Wtedy, być może, duch mój uleci w kosmos. A na ziemi zostanie po mnie trochę energii. Co mi się plecie w mózgowicy? Tak naprawdę mam nadzieję, że wyjdę z blaszanki. Ja zupełnie nie pasuję do tej sytuacji.

Od rozmyślań uratowało mnie czteroletnie dziecko, które niepostrzeżenie podpełzło do stojącego w rozkroku terrorysty i wyciągnęło rączkę w kierunku broni.

— Da — powiedziało z uśmiechem.

Ludzie zamarli. Matka zerwała się z krzykiem. Ktoś ją brutalnie usadził na miejscu. Wstałam swobodnie, choć czułam lekkie mrowienie na plecach. Nikt nie chce być bohaterem na siłę. To tylko odruch solidarności.

Porywacz cofnął się. Otworzył usta, by wrzasnąć, ale nie zdążył. Chwyciłam malca pod pachy, posyłając uzbrojonemu długie spojrzenie. Wiedziałam, że mnie nie znosi. Dlatego błyskawicznie odwróciłam się plecami. Podobno w plecy się nie strzela. Tyle wiedziałam z westernów. Udając świetną zabawę, podrzucałam malca, idąc aż do rzędu, w którym tkwiła jego na pół oszalała ze strachu matka.

— Niech go pani lepiej pilnuje, do ciężkiej cholery!

Nie miałam siły, by wracać wzdłuż siedemnastu rzędów. Klapnęłam na jakimś wolnym fotelu, czując pot spływający spod włosów. Wzięłam gazetę, by się powachlować, kiedy się odezwała:

— Nigdy bym tego nie zrobiła.

Spojrzałam w bok. To była druga z trójkąta: mąż, żona, kochanka. Jak ona się nazywa? Aha! Teresa.

†

— Ja też. Gdybym wcześniej pomyślała. Czy on jeszcze stoi w przejściu? Ten w zielonym?

— Nie. Jest trzeci. W marengo.

— Dlaczego pani zmieniła miejsce? — spytałam właściwie bez nadziei, że mi odpowie.

— Bo już nic mnie z nią nie łączy. Bronek nie żyje. A za dwa, trzy miesiące to ja się z nim spotkam. Tam, w zaświatach. Ona zostanie wśród żywych.

•— Wierzy pani w niebo i piekło?

— Tak.

— Nie może więc pani jej nienawidzić. To nie po chrześcijańsku. Jest w końcu żoną. Wiąże ich... przepraszam, wiązał... sakrament małżeński.

Przymknęła oczy.

— Tak. Niemniej to małżeństwo było nieudane. Od początku.

— Co mówi Pan? Co na ziemi związane, niech nikt się nie waży rozwiązać. — Nie wiem, dlaczego byłam okrutna.

Otworzyła powieki. Jej szczupła, właściwie wychudzona twarz nie mieściła olbrzymich płonących oczu. Przypominały dwie latarnie morskie, oświetlające burzliwy przylądek. Długie, czarne rzęsy rzucały cień na policzki. Musiała być kiedyś bardzo piękną kobietą. Do tego szykownie ubrana. Spodnie z granatowego flauszu, długa bluzka w granatowo-białe pasy i kamizelka ze srebrnymi guzikami. Ani cienia biżuterii.

— Dlatego... nie żyłam z nim. Nie chciałam. Wystarczyło, że był. Patrzył. Podawał wino lub wodę. Miał w sobie ogromne pokłady czułości.

— Ale ona cierpiała — upierałam się. — Żona.

— Dlatego na pewno się spotkamy w czyścicu. Ani ja, ani Broniek nie zasłużyliśmy na niebo. Wiem o tym.

Reflektory znów złapały samolot w trzy długie pasma, niczym rozświetlona mgła. Wszyscy przyłgnęli nosami do szyb.

Wstałam i korzystając z zamieszania ruszyłam na swoje miejsce. Ale nie udało mi się tam dotrzeć. Poczulałam szarpnięcie za rękę. Odwróciłam głowę. To siostra Genowefa.

— Jak masz, dziecko, na imię?

29

— Ewa.

— Jesteś odważna. Bo widzisz... to już po północy. Właśnie zaczął się dzień wigilijny.

Boże mój! Zupełnie o tym zapomniałam! Porzuciłam dom rodzinny, by choć raz, w ten świąteczny wieczór, zamiast barszczu i smażonego karpia zjeść na Teneryfie ostrygi z białym winem. A potem, w rozgwieżdżoną, ciepłą noc brodzić boso po plaży, wsłuchując się w szum palmowych liści. Chciałam, żeby było inaczej.

No, i było!

— Chyba nikt o tym nie pamięta — wymruczałam.

— A powinni — włączyła się siostra Biygida. Miała taki zabawny, bardzo seksy pieprzyk na policzku. — Można by zebrać ludzi, zaśpiewać kolędę: Bóg się rodzi. To nic, że jesteśmy porwani. To nie ma znaczenia!

Spojrzałam na nią, nie wiedząc, czy się śmiać, czy płakać.

— Proszę siostry — zaczęłam miękko — oni zabili pięć osób. Czy siostra sądzi, że pozwolą nam tu urządzić szopkę i pasterkę?

Genowefa prostowała fałdy habitu.

— Spróbuj. Ty się nie boisz.

O święty Franciszku, patronie zakonu, z którego pochodzą te poczciwe dusze! One naprawdę uwierzyły, że nie czują strachu? — odrzuciłam z czoła spoconą grzywkę. I wtedy znów coś we mnie wstąpiło. Diabli nadali...

— Proszę państwa! — zawołałam najgłośniejszym głosem. — Dziś jest Wigilia!

Ludzie milkli, popatrując jedni na drugich.

— Dziś jest Wigilia! — powtórzyła z pierwszego rzędu pani Borkowska, pielęgniarzka. — Bóg się rodzi!

Nie wiem dlaczego, ale rzuciłyśmy się sobie w ramiona. Życie stwarza sytuacje, o jakich nie śniło się filozofom.

— Ja mam opłatki! — ucieszyła się żona pana Kotlarskiego. Ta, co piła walerianę.

— Trzeba się podzielić.

Tego już było zbyt wiele jak na cierpliwość faceta w kominiarce. Dopadł mnie i wykręcając ramię wrzasnął:

— Uważaj, bo będziesz następna!

Zamknęłam oczy. Zniknęła gdzieś wizja plaży pod gwiazdami.

30

Także ta druga: choinka, kolędy, opłatek. Czułam ból w wykręconym ramieniu, wściekłość na cały świat i tych, którzy nie przychodzą nam z pomocą. Choć kręca się wokół samolotu i świecą nam w oczy. Nie mogłam spojrzeć w białe otwory Czarnej Maski, ponieważ stał za mną. I nie zamierzał mnie puścić, choć szarpałam się niczym złowiony we wnyki dzik. Jego chwyt był precyzyjny. Każdy mój ruch powodował jeszcze dotkliwszy ból. Facet znał się na rzeczy. Fachowiec.

— Niech pan jej nie zabija! — siostra Genowefa złożyła ręce jak do modlitwy. — To dzień narodzin Pana!

Chwył nie zelżał, ale szóstym zmysłem wyczułam, że on mnie nie ukatrupi. Pozostali terroryści tak. Nie miałam co do tego żadnych wątpliwości. Znow rozległ się szelest odsuwanych drzwi. Czarna Maska jednym ruchem pchnął mnie za zasłonę, do przedniej części samolotu. Następnie wzdłuż dziewięciu całkowicie pustych rzędów przeciągał mnie facet w zielonej marynarce. Zanim mnie wrzucił niczym worek do kabiny pilotów, przez ułamek sekundy dostrzegłam w jasnym świetle reflektorów pas startowy z szarego betonu i kilkanaście sylwetek wolno zbliżających się do maszyny.

To było wszystko. W następnej chwili wylądowałam na fotelu nawigatora. O tym, czyj to był fotel, dowiedziałam się później. Oszołomiona rozglądałam się po wnętrzu wypełnionym zegarami, wskaźnikami i całą tą elektroniką, której normalny człowiek nie zrozumie za chińskiego boga. W kabinie był tylko kapitan. Miał zabandażowaną głowę i pobrudzony krwią mundur. Inne fotele były puste.

— Witam na pokładzie — powiedział ponuro. — Nie mogę się ruszyć, ponieważ skrepowali mi ręce.

— Nie przyszłam tu z własnej woli. Wrzucili mnie.

— Co się dzieje w środku? Czy pasażerowie są dobrze traktowani? — próbował z trudem odwrócić twarz. Prychnęłam usiłując przedostać się bliżej.

— Zasztyletowali mężczyznę tylko dlatego, że przechwycił jeden z tych pistoletów maszynowych. Zresztą przypadkowo. Nie wie pan, gdzie jesteśmy?

Spojrzał spod oka.

3 1

— Wiem. Ale to nie ma znaczenia.

— Chyba jednak ma! — zdenerwowałam się nie na żarty. — Nie jest obojętne, czy otaczają nas Pigmeje z dzidami, czy regularne wojsko! To, co widziałam przez otwarte drzwi...

Kapitan wskazał mi podbródkiem fotel drugiego pilota. Usiadłam, mając przed sobą dziesiątki zegarów i światełek.

— A co widziałas?

— Ludzi. Tych, co otoczyli samolot. Skrzywił wargi. Oblizął je. Chyba go bolało.

— Cztery godziny temu już to zrobili. Nie wejdą tu siłą. Boją się o los zakładników.

Coś zaskrzeczało w słuchawce. Kapitan uważnie wsłuchiwał się w słowa dla mnie niezrozumiałe. Zdziwiło mnie to, że swobodnie porozumiewa się z ziemią. Że nikt mu tego nie zabrania.

— Co mówili? — byłam cała jednym wielkim znakiem zapytania. Wzruszył ramionami.

Miał wykręcone do tyłu dłonie. Rzuciłam

się, by go rozwiązać. Niestety. Szeroka taśma samoprzylepna była nie do pokonania. Owinęli go razem z fotelem niczym baleron. Na dodatek taśma nie była z papieru, tylko z nieznanego tworzywa o szorstkiej konsystencji. Złamawszy dwa paznokcie, skapitulowałam.

— Niestety, kapitanie, nie dam rady bez ostrego noża...

— Wiem. Zostaw.

W słuchawkach coś zabuczało. Przyłożyłam ucho do mikrofonu.

— Rozumie pan?

— Pytają, czy ich słyszę. Niestety, nie mogę odpowiedzieć. Jeden z tych durniów zniszczył... cholera! Zdaje się, że chcą wejść przez luk bagażowy!

— A mogą?

— Teoretycznie tak, ale... — znow słuchał z uwagą. Przyjrzałam mu się. Miał chyba pięćdziesiątkę. Przystojną twarz

w typie Stinga. Żaden intelektualista. Ładnie mu w mundurze. Trzaski nagłe się urwały. Zaległa cisza.

— Wysadzą nas w powietrze? — moje pytanie chyba było głupie.

— Nie! Porywacze żądają trzech milionów dolarów okupu. Najpierw jednak muszą znaleźć i unieszkodliwić jakiegoś Kinga.

3 2

— Tak. Wiem. Poszukują go wśród pasażerów. Niewiele rozumiem z tego wszystkiego, ale wygląda na to, że naszym boeingiem Wybrały się na wycieczkę dwa zwalczające się gangi.

— Dlaczego dwa? Chcą tylko jednego człowieka o pseudonimie King. Ale z tego, co usłyszałem, chodzi, zdaje się, o przywódcę międzynarodowej grupy handlarzy bronią.

— A nasi co? — ziiytowałam się. — Handlują gumą do żucia? Nie wiedzą, jak facet wygląda. Sprawdzili wszystkich mężczyzn. Żaden nie miał broni. Nikogo nie zatrzymali. Ja sama pomagałam przeszukiwać kobiety. Mamy jeszcze czworo małych dzieci. Więc gdzie jest ten King? To chyba nie pan?

Skrzywił usta.

— Nie. Nie ja. Mnie też przeszukali. Drugiego pilota, nawigatora i mechanika zabili. Za stawianie oporu. To nie do wytrzymania!

— Mogli i pana zabić.

Przesunął się na fotelu. Bardzo cierpiał.

— Nie mogli. Ktoś musiał się na początku porozumiewać z wieżą i lotniskiem.

Później ten w czarnej masce dał mi w łeb. Ocknąłem się... oni już nie żyli.

Antoni próbował uciekać, otworzył nawet drzwi...

Przypomniałam sobie nogę w bucie. Zrobiło mi się niedobrze. Musiałam się zmienić na twarzy, bo usłyszałam głos kapitana, jakby z dna beczki:

— Co ci jest? Tylko nie mdlej!

Nie zemdlałam. Gorączkowo przelykałam nadmiar śliny. Aż znów dostrzegłam wszystko we właściwych proporcjach, nie zamazane.

— Chciałabym jakoś panu pomóc...

— Dobrze. Otwórz szafeczkę ze znakiem czerwonego krzyża. Rozejrzałam się.

Zegarów było tyle, co u starego zegarmistrza

z mojej ulicy. Różniły się tylko kolorowymi punkcikami i niesamowitą ilością wskazówek. Penetrowałamabinę, jakbym szukała sejfu z milionem dolarów.

— Gdzie ta cholerna...

— Po lewej stronie. Niżej.

— Znalazłam. Czego pan potrzebuje? Niewiele tu lekarstw. Nieco więcej prezerwatyw.

Zachichotał cicho.,

i

3 — Zatrzymajcie świat..

— Znajdź mi efferalgan. Takie rozpuszczalne...

— Są! — tryumfalnie uniosłam w górę pudełeczko.

— Teraz weź termos. Z herbatą. Jakubowski nie zdążył wypić.

Znalazłam śmieszny dziecinny termosik z krasnoludkami na plastikowej obudowie. Czerwona czapeczka rozczuliła mnie do tego stopnia, że sporo wychlapałam, zanim podałam kapitanowi płyn w nakrętce.

— Wrzuć do środka dwie pastylki. Pospiesz się.

— Szybciej nie można. Muszą się rozpuścić. Proszę odchylić głowę.

Kapitanowi udało się połknąć wszystko.

— On miał dzieci? Ten... Jakubowski?

— Tak. Bliźnięta. Mają cztery latka. Kapitan Jakubowski wziął ten lot w zastępstwie. Nagłym. Jego stała trasa to Tokio.

Musiałam za wszelką cenę zmienić temat. Wyraźnie się rozklejał. Zrobiłam to dość niezręcznie.

— Jestem Ewa. A pan... jakoś się nazywa?

Oblizywał spieczone wargi. Bandaż na głowie ciągle nasiąkał krwią, chyba miał gorączkę.

— Przepraszam. Ale przedstawiłem się pasażerom przez głośnik. Zaraz po starcie z Warszawy. Kapitan Leszek Pawłowski. Czy możesz dać mi jeszcze trochę picia...

Poiłam go jak swego młodszego braciszka Jacusia. Otarłam chusteczką krople z brody. Miał kasztanowe oczy. I małą bliznę pod nosem.

— Czy może mi pan coś wyjaśnić? — spytałam, bo sprawa ta nurtowała mnie od samego początku.

— Spróbuję.

— Jak oni mogli wejść do samolotu z bronią? Przecież na lotnisku są bramki? To nie są nożyki do owoców, tylko karabiny maszynowe. Chyba najnowszej produkcji. Niewiele znam się na tym, ale człowiek ogląda filmy. I wiadomości telewizyjne. Jak czterech facetów mogło wnieść na pokład tyle żelastwa?

Kapitan poruszył się. Cały czas zastanawiałam się, jak mu pomóc. Ale taśma, którą był skrepowany, wymagała chyba maczety.

— Wygląda na to, że byli z kimś w zмовie.

34

— Z kimś z lotniska?

— Chyba tak. Broń mogli przemyścić już wcześniej do któregoś ze schowków lub przyjechała razem z cateringiem.

— Z czym?

— Z jedzeniem. Mamy tu metalowe wózki-podgrzewarki. Z półkami w środku. Przewozi się nimi tacki z posiłkami.

: Coś mi się nagle przypomniało, ale nie mogłam tego umiejscowić. Jakiś przebłysk, czyjś gest. Co to było? Nie wiem.

— Może stewardesa?

i — Jolę znam od sześciu lat.

— Blondynka? A ta druga?

; Zamyślił się. Lekarstwo chyba zaczęło działać, bo wzrok miał już mniej mętny.

— Wiem tylko tyle, że ma na imię Kasia. Nigdy z nią nie latałem. Muszę spytać Joli...

Drzwi do kabiny pilotów otworzyły się. Kątem oka dostrzegłam stewardesę o jasnych włosach.

— Pozwolili podać ludziom posiłek. Panu też, kapitanie.

— Tylko kawę. Mocną. Jaka jest sytuacja pasażerów? Słuchaj, czy ty dobrze znasz...

Zielony wtargnął, opierając lufę na moim fotelu.

— Jazda, do środka!

— Ale... — zaczęłam i natychmiast umilkłam. Jego dłoń zacisnęła się na moich włosach. Szarpnął.

: — Jedno słowo, a wylatujesz stąd martwa!

Wywłócił mnie z kabiny. I choć czułam straszliwy ból w korzonkach włosów, kątem

oka zarejestrowałam jeden drobny fakt, obrys klapy w podłodze samolotu był w tej chwili dużo szerszy. Tak jakby ktoś tam schodził lub odwrotnie: próbował wejść. Zielony z satysfakcją włókł mnie twarzą do podłogi. I byłby mi zapewne rozbił nos o fotele, gdyby nie jego towarzysza.

— Gdzie radiotelefon?

Musiał mnie puścić. Aparat miał w kieszeni. Skorzystałam z tego, dając nura w przejście. Nie rozbiłam sobie głowy tylko dlatego, że złapali mnie ludzie.

— Bogu dzięki, żyjesz! — usłyszałam radosny głos pani Stanisławy.

3 5

— Po co panią zabrali do kabiny pilotów? — denerwowali się Kotlarscy. — Już myśleliśmy, że następny trup!

Usiadłam obok pani Marianny, ciężko dysząc.

— Ale miałam pietra! Pokiwała głową.

— Grunt, że wróciłaś. Co widziałaś w kabinie?

— Pilota. Znaczący... kapitana. Tylko on został przy życiu, choć jest ranny w głowę. I ma skrępowane ręce.

Pani Marianna jęknęła.

— To znaczy, że nie odlecimy. Nawet jakby nas odbili. Sam kapitan nie wystarczy.

Zdziwiłam się, że o tym myśli. Przecież nikt już nie miał najmniejszych wątpliwości, że nie ujrzymy lotniska w Teneryfie. Kto z wycieczkowiczów chciałby lecieć dalej? Temat na referendum.

— Proszę pani — zaczęłam oddychając głęboko — wakacje się skończyły. Zanim zaczęły się na dobre. Podejrzewam, że wszyscy tu marzą tylko o jednym: żeby cało i zdrowo wrócić do domu!

Nie odpowiedziała. Miałam wrażenie, że żyje w innym świecie. Może jest samotną kobietą, która nie ma domu w tym sensie, jak sobie wyobrażałam: jasne ściany, rodzina, przyjaciele. Może jest sama jak palec? I nie ma do kogo wrócić? I nagle pomyślałam o rodzicach, braciszku i psie rasy kundel. Czy siedzą przed telewizorem, wlepiając zalane łzami oczy w filmowe zdjęcia naszego samolotu? Przecież nie wiedzą, co się ze mną dzieje. Z bolesnej zadumy wyrwało mnie jakieś skrzywienie. Czarnowłosa Kasia pchała metalowy wózek z tackami. Rozdawała jedzenie tak, jakby nic się nie zdarzyło. Za nią podążała Jola, nalewając sok.

Ludzie się ożywili. Ustawiali blaty w pozycji poziomej. Starali się nie powodować sytuacji konfliktowych. Mój przypadek nauczył ich, że opór na nic się nie przyda. Po prostu trzeba przetrwać.

Pani Marianna wyraźnie się ożywiła.

— Dzięki, Kasiu. Czarnowłosa skinęła głową.

— Skąd pani wie, jak ma na imię? — zdziwiłam się, otwierając przezroczyste, plastikowe pudełko.

— Słyszałam, jak do siebie mówiły. Czarna jest Kasia, biała Jola.

3 6

Nie miałam apetytu. Mrożone bułeczki powinny były zostać od-grzane. Wtedy nadają się do jedzenia. Te były niczym piłki tenisowe. Wędlina przybrana ogórkiem i pomidorem też nie miała przyzwoitego koloru. Odpakowałam serek topiony. Jego osty smak sprawił, że poczułam głód. Rozsądek kazał mi zjeść wszystko do ostatniego okruszka. Nie wiedziałam, czy w samolocie jest jeszcze jakieś jedzenie. I kiedy znów coś dostaniemy.

— Ostatni posiłek skazanych — wybąkałam, popijając ciastko sokiem z czarnej porzeczki.

Sasiadka nie odzywała się, żując dokładnie każdy kęs. Też wymiotła wszystko z opakowania. Nawet musztardę.

— Szkoda, że nie dali nam ostyich noży. Uwolniłabym kapitana... — rozmarzyłam się. Na pokładzie było dziwnie spokojnie. Ludzie jedli, pili, niektórzy nawet czytali prasę. Ale były też kobiety wciąż oplakujące pozostawione gdzieś bezpieczne domy i tak bezsensownie przerwane wakacje.

— Czujesz się jak Rambo?

Zaśmiałam się. Stara dama wiedziała, kim jest Rambo!

— Nie, skądże. Ale nie lubię, jak się coś dzieje kompletnie bez sensu.

— O, to nie zostaniesz nigdy politykiem.

Nie miałam takiego zamiaru. Ale chciałam, wciąż chciałam coś zrobić! Umyć spocone włosy, uszczęśliwić świat, wystartować stąd, siedząc w fotelu drugiego pilota.

•— Bóg się rodzi, moc truchleje... — zaintonowała nagle siostra Brygida czystym, wysokim sopranem.

— Pan w niebiosach... — dołączył tenorem Zdzisio Kondek.

Nagle wewnątrz boeinga jakby pojaśniało. Może to wpływ reflektorów, może nastroju. Ludzie otrząsnęli się ze strachu, wyprostowali. Chór głosów, co z tego, że nie całkiem czysto, że ktoś tu i ówdzie zafalszował, niósł się w górę, wypływał z blaszanki, rósł w siłę i wypełniał serca nadzieją.

Zielony z podniesionym w górę pistoletem nic nie mógł zdziałać. Bał się posłać serię, a jego wrzask na nikim już nie robił wrażenia. Bo człowiek to taka dziwna istota, że jak raz coś zrozumie, postanowi i wykona — potrafi nawet skruszyć muiy Jerycha.

37

Kolęda wybrzmiała i zapadła cisza.

— Kto mówił, że ma opłatek?

Okazało się, że prawie w każdym bagażu znajdują się białe, kruche płatki.

— Wigilia przecież.

— Ale dopiero wieczorem — tonowała siostra Genowefa. —

Teraz mamy piątą rano!

— Siostra myśli, że doczekamy? — wyjęczała Basia Kondkowa.

— Trzeba mieć wiarę, córko. Trzeba mieć wiarę!

Znów coś się działo na lewym skrzydle. Z zewnątrz wyraźnie dochodziły jakieś podejrzanе stukania. Nagle, siedząca w połowie samolotu żona fabrykanta zabawek, wrzasnęła wielkim głosem:

— Widziałam twarz! Zieloną! Zaglądała przez okienko! Rzeczywiście. Jakaś blada ludzka gęba rozplaszczała nos na zewnętrznej szybie. I znikła tak nagle, jak się pokazała.

— Cicho, Irka! Nie wrzeszcz! — denerwował się pan Komornic-ki. — Może próbują wejść przez to awaryjne...

Rzeczywiście. Okno w rzędzie państwa Komornickich miało na górze napis: wyjście awaryjne.

Rozległy się głosy powątpiewania.

— To się otwiera tylko od wewnątrz. Specjalnym kluczem, który ma załoga. Sami nie damy rady...

— Nie! Robert, nie! — rozległ się głośny krzyk dziewczyny z ostatniego rzędu.

Jej chłopak, młodzieniec z długimi włosami, nerwowo zdierał z niej spodnie. — Nie chcę już!

— Nikt cię nie pyta! — syczał z wściekłością. — Będę cię pieprzył, kiedy zechcę!

Taka była umowa!

Ktoś się rzucił na pomoc, ale dostał kopniaka grubym butem. Dziewczyna skomlała jak pies, ale nie protestowała. Widać taką jej wyznaczył rolę ów młody jaskiniowiec. Tym razem ludzie udawali, że nie widzą i nie słyszą. Kiedy skończył, zapiął spodnie i nie zwracając uwagi na partnerkę, otworzył puszkę coca-coli.

— Chcesz?

Chciała. Ocierając płynące łzy, piła wprost z puszki. A potem zapatrzyła się w ciemny owal okna.

3 8

Spojrzałam w kierunku sióstr franciszkanek. Modliły się, poruszając ustami i przesuując paciorki różańca.

— Uważa pani, że to w porządku? — spytałam półgłosem.

Pani Marianna z głową opartą na podglówku wzruszyła ramionami.

— Wiedziała, z kim jedzie na wycieczkę.

— Ale... tak publicznie?

Odwróciła twarz. Jej siwe włosy lekko zburzone odsłoniły ucho duże i żółte.

— Początek końca dwudziestego wieku. Twoje pokolenie różni się od mojego.

Jesteście tacy... bezwzględni. Także dla otoczenia. Jego nie interesuje, czy ktoś widzi, czy nie. Jest mu to zupełnie obojętne. Facet odczuwa silny popęd płciowy i zwyczajnie go zaspokaja. Jak głód. To może być stres. Ale nie musi.

— Zwierzak.

— Tak. Jest zapewne z tego dumny. O ile mnie wzrok nie myli, robi to już czwarty raz.

Otworzyłam usta i zapomniałam je zamknąć. Zaskakiwała mnie sąsiadka-staruszka. Gdy oprzytomniałam, udało mi się wyjąkać:

— Obserwuje ich pani?

— Wszystkich. To mnie uspokaja. Poprawia nastrój. Pamiętaj, punkt pierwszy: informacja. Także wzrokowa. Punkt drugi: zrozumieć informację.

!— Chciałabym. Na przykład tę zielonkawą zjawę, która łązi po skrzydle. Co to za informacja?

— Że ktoś chce nas przygotować na możliwość uderzenia.

— Z zewnątrz?

— Możliwe.

Poczułam mrowienie na plecach.

— Ale przecież zginiemy! Wszyscy!

— Zależy od tego, w jakim kraju się znajdujemy. A dokładniej: czyje wojska nas otaczają. Niemcy i Brytyjczycy mają całkiem niezłe bigady antyterrorystyczne. Gorzej z Włochami i Francuzami. Kupa ludzi, z których każdy strzela w inną stronę.

— Skąd... pani to wie?

— Mam masę czasu i czytam. A w domu kablówkę. Obejrzałam

39

sporo filmów dokumentalnych na temat sposobów odbijania zakładników. Najlepiej robią to Izraelczycy.

Rozległ się łomot butów. Zielony przegalopował przejściem wzdłuż foteli, ustawiając się z bronią gotową do strzału tuż przy fotelach ostatniego rzędu.

Marengo zajął miejsce pośrodku.

Wychyliłam się. Czarna Maska bezgłośnie, ruchami dłoni regulował ruch. Nigdzie nie widziałam czwartego. Tego, który straciwszy panowanie nad własnymi nerwami,

puścił serię w sufit.

— Coś się szykuje — mruknęłam.

Pani Marianna milczała ze zmarszczonymi brwiami.

— Rolex, odliczaj dwudziestkę. Same kobiety i dzieci! — Facet w kominiarce stał tuż przy drzwiach, trzymając przed sobą Jolę i wycelowany w nią karabin.

— Raz, dwa... i ty. Cztery... — Zielony, zwany Rolexem, wyłuskiwał ofiary, uderzając je końcem lufy.

— Co? Po co? Neeee! — wołały zasłaniając twarze dłońmi. Nie wiedziały, czy wychodzą na wolność, czy na śmierć.

Sytuacja sprawiła, że oprawcy znów stali się brutalni. Małżeństwo z przedostatniego rzędu, ludzie w średnim wieku, którzy za nic nie chcieli się rozdzielić, zostali pobici do krwi. Kobięcie uszkodzono nos lub szczękę, bo wyla z bólu, trzymając się za twarz. Inni natychmiast przestali protestować. Skulili się na siedzeniach, prawie wtopieni w oparcia, by stać się, nie wiem, niewidzialnymi? Wszystko na nic. Nie rozumiałam, jakim posługują się kluczem. Wybierali zarówno młode, jak i starsze kobiety. Działy się sceny przerażające. Kobiety płakały, paru dorosłych, silnych z wyglądu mężczyzn padło na kolana, prosząc o wypuszczenie.

Zerknęłam na sąsiadkę. Jej twarz czerwieniała pod plackami zbyt jasnego pudru. Sama czułam, jak mi żołądek podjeżdża do gardła. I jak strasznie mi się pocą dłonie.

Dwudziestka, wypchnięta przez faceta w marengo i mojego osobistego, serdecznego wroga w zieleni, stała stłoczona przed zamkniętymi jeszcze drzwiami boeinga.

Kiedy się z sykiem, automatycznie otwarły, kobiety zaczęły znikać.

— Wyrzucają je? — jęknęła pani Kotlarska, wachając puste już opakowanie waleriany.

40

— Nic nie widzę — odparł jej mąż, narzucając tabaczkową marynarkę.

— Nie widać żadnych schodków! — czyjś głos przebił hałas. — Tam na zewnątrz jest coś dziwnego... takie żółte...

Nie wiem, skąd ani dlaczego nagle obok mnie pojawiła się Kasia-stewardesa. Jej policzki płonęły. Wyglądała na zdenerwowaną.

— Nie wiem, co robić... — zaczęła zupełnie bez sensu. Spojrzałam na jej ładną twarz. W ogromnych błękitnych oczach zobaczyłam jedynie błyski nienawiści.

— Przecież pani nic nie... — zaczęłam, gdy dłoń mojej sąsiadki spoczęła łagodnie na moim kolanie.

— Kasia się denerwuje. Niepotrzebnie. Stewardesa usiłowała opanować drżenie rąk.

— Prowadzą pertraktacje. Zwolnili dwadzieścia pasażerek. Na zewnątrz przyjechał wysokiej rangi oficer. Porozumiewają się przez telefon komórkowy.

— Jak te kobiety stąd wyszły? — zdziwiłam się.

— Zjechały nadmuchaną lynną. Tak się postępuje w awaryjnych przypadkach.

Mimo strachu i spoconego nosa wyobraziłam sobie natychmiast taką jazdę.

— Szkoda, że mnie nie wybrali! — zabiadoliłam. — Czy to znaczy, że już przestali szukać wśród pasażerów tego... Kinga?

Kasia wzruszyła ramionami. Odpływając w stronę kuchenki, rzuciła:

— Może uda się podać państwu jakiś gorący posiłek.

Zdziwiłam się, że znów myśli o posiłku. Widocznie tak są szkolone. Wygoda pasażerów ponad wszystko. Może się w samolocie walić i palić. Mogą mordować i bić. Stewardesa zawsze myśli o posiłkach! Chwała jej za to. I Polskim Liniom Lotniczym LOT!

Uniosłam się lekko, by zobaczyć, co się dzieje. Szczęśliwa dwudziestka odjechała już żółtą, plastikową, nadmuchiwą rynną na płytę lotniska. Nie pozwolono im wszakże zabrać bagaży. Na pustych fotelach leżały porzucone żakiety, swetry i szale. Para zapoconych okularów i otwarta książka.

41

Poczułam ból żołądka. No, tak musiało się skończyć. Niepotrzebnie chrupałam serowe chipsy z torby pani Marianny.

— Idę do toalety. Skinęła głową.

— Uważaj na siebie. Ten Zielony bardzo cię nie lubi. ,

— Dziękuję, wiem.

Jakoś bez problemu dojrzałam do białych, plastikowych drzwi. Niestety, toaleta była zajęta. Podświetlony czerwony napis przez dłuższą chwilę nie zniknął.

Oddychając głęboko, bo to pomaga czasem przy żołądkowych rozstrojach, przyglądałam się pomieszczeniom. Obie dziewczyny coś szeptały, pakując śmieci do czarnego worka. Trójka terrorystów chyba tkwiła w nie domkniętej kabinie pilota, bo dochodziły stamtąd podniesione głosy.

Nagle tuż pod moją lewą stopą uniosła się kłapa w podłodze. Odskokczyłam w bok. Obiys unosił się na wysokość trzech, czterech centymetrów.

Tam ktoś jest! — przeleciało mi przez głowę. Wpatrywałam się w ów kwadrat jak wąż boa w sparaliżowanego strachem królika. Tak. Najwyraźniej tam ktoś był. Unosił ową kłapę szalenie ostrożnie. Naprzód dojrzałam coś zielonego. Potem parę oczu. Uważnych, czujnych. To zielone okazało się kominiarką. Taką samą, jaką nosił Czarna Maską. Nasze oczy spotkały się na ułamek sekundy. Nie drgnęłam. Nie wrzasnąłam. Zastygłam tylko jak kamienna figura. Oczy o coś pytały. Chyba chodziło mu o terrorystów. Pokręciłam przecząco głową, wskazując palcem kierunek do kabiny pilotów. Chyba zrozumiał, bo kłapa uniosła się na tyle wysoko, by odłonić bark i lewą, uzbrojoną dłoń. Przygryzłam wargi, wyciągając przed siebie dłoń z trzema palcami. Chciałam mu dać do zrozumienia, ilu ich jest. Skinął głową okrągłą jak piłka futbolowa. Z przerażeniem stwierdziłam tylko, że broń ma dokładnie taką samą jak „nasi”.

Nieszczęścia są zawsze wypadkową losu. Zajęta dotąd kabina toalety otworzyła się. Wyszła z niej kobieta w średnim wieku z włosami skręconymi zbyt silną trwałą. Niepotrzebnie spojrzała na przybysza, którego widocznie wzięła za kosmitę. Jej dziki wrzask, bardziej wilcze wycie, wywołał „naszych”. Wpadli z bronią gotową do strzału. Marengo był najszybszy. Puścił serię prawie wprost pod moje

42

stopy. Nic mi się, na szczęście, nie stało, ale tylko dlatego, że odskokczyłam ułamek sekundy wcześniej. Obrońca, o ile to w ogóle był jakiś obrońca, musiał zostać trafiony, bo zanim kłapa opadła, rozległ się krzyk bólu.

Terrorysty wpadli w szal. Rolex szarpał się z Czarną Maską. Facet w marengo ostrożnie otwierał właz. Po człowieku w zielonym kombinezonie nie został żaden ślad. Poza ciemniejszą smużką krwi. Nieszczęściem było też, że okropna baba w loczkach darła się wcięż i nie można jej było uciszyć.

Czarna Maską, jak zwykle dobrze wychowany, uderzył ją na odlew z całej siły. Wycie ustało. Kobieta wywracała oczyma, nie bardzo rozumiejąc, co się z nią właściwie dzieje.

— Zabierz ją! Do tyłu! — lufą wskazał mi kierunek. Czym prędzej wykonałam rozkaz. Należał do tych, z którymi się nie dyskutuje. Doholowałam blondynę do

jednego z opuszczonych foteli.

— Niech pani siada! — warknęłam, czując, że ból żołądka ustępuje.

— Ale ja... tam! — wrywała mi się z objęć. Była gruba. Ciężar jej potężnych piersi czułam na ramieniu.

— Tutaj, jeśli nie chce pani zginąć!

Nie chciała. Nagle zmiękła, oklapła i jak szmaciana lalka zwiśla mi w ramionach.

Nie poradziłabym sobie, gdyby nie pomoc ładnej osiemnastolatki w dżinsowej kurteczce.

— Dzięki — wyszeptalam, gdy już Gruba opadła na fotel.

Nastolatka posłała mi uśmiech. Co ja mówię uśmiech. Cięż uśmiechu. Drobne skrzywienie warg. To wszystko.

Usiadłam obok Grubej, by znów nie zaczęła swojego wilczego wycia.

— Boże, jak się wystraszyłam — wybąkała patrząc mi przymilnie w oczy.

— Nie musiała pani tak wrzeszczeć — odparłam czując wściekłość rozsadzającą mi czaszkę. — Ten człowiek łyzykował życie! Chciał nas uwolnić!

— Kto? — patrzyła na mnie, nie rozumiejąc ani słowa.

— Zielony. Ten, który podważył klapę. Był jednym z brygady antyterrorystycznej.

43

— Kto? — pytała z uporem maniaka.

— Przecież widziała go pani! — jęknęłam ze zgrozą.

— Kogo?

Oparłam głowę o fotel. Tłumaczenie nie miało żadnego sensu. Ona może nawet słyszała mój głos, ale nie słuchała. Pomyślałam, że my często ze sobą tak rozmawiamy. My, Polacy. Przed oczyma stanął mi znany telewizyjny komentator, usiłujący przedstawić swój punkt widzenia czterem rozmówcom. Każdy z nich mówił o czymś i żaden nie odpowiadał na pytanie. Ale wszyscy w końcu powiedzieli to, z czym przyszli do studia. I bardzo byli z siebie zadowoleni. Dlatego nigdy nie zostanę telewizyjną dziennikarką.

Nigdy!

— Jak się pani nazywa? — za wszelką cenę usiłowałam sprawić, by zaczęła myśleć.

— Jankowska.

— A imię?

— Bożena. Bo co? — patrzyła mi już wprost w oczy. Jej gałki nie wykonywały ruchów okrężnych. Chyba dochodziła do normy.

— Zawsze tak pani reaguje?

— To znaczy: jak?

Znudziła mnie. Jej głos był podobny do zgrzytu noża po szkle. Ale wciąż bałam się zostawić ją bez opieki.

— Leciała pani sama?

Skinęła głową. W jej oczach załśniły łzy, spływając bezgłośnie po policzkach i złościąc ciemne smugi. Nie rozmazywała tuszu pięściami. Nie ruszała się ani o milimetr. Jej dłonie, mocno zaciśnięte na zamku torebki, wydawały się rzeźbą z gipsu. Na palcach miała złote pierścionki z kolorowymi oczkami. I brzydko odłupany lakier. Przedstawiała sobą typ kobiety zajętej robieniem pieniędzy. Może na bazarze, może w tanim sklepie lub supermarkecie, który nie zdążył jeszcze zadbać o wygląd własnych pracownic.

— Jadę sama — powiedziała kamiennymi ustami. — Od trzech lat jeżdżę za granicę. Zawsze się trafi jakaś, która ze mną mieszka. W pokoju. Muszę z kimś pogadać.

— Lubi pani rozmowy o życiu?

Podniosła na mnie wzrok. Odkryłam w nim tyle bólu i żalu, że zrobiło mi się przykro. Staralam się ze wszystkich sił zrozumieć tę kobietę i jej problemy. Niestety. Byłam chyba na to zbyt młoda. Otworzyła torebkę, wyciągając chusteczkę i lusterko w plastikowej oprawie. Zmazywała ślady tuszu, trąc mocno policzki. Robiła to wpięrw łagodnie, potem z pasją.

— Zawsze myślałam tylko o domu. Żeby było co jeść. I żeby było czysto. Mąż i syn mieli wszystko. Nawet szynkę, kiedy jej nie było w sklepach. Stałam godzinami w kolejkach, nogi mi puchły. A oni...

— Nie doceniali pani pracy? Podobno tacy są wszyscy mężczyźni. Może uznali, że im się to należy? — Niewiele mam doświadczenia. Nie mam męża ani syna. Ale mam ojca, który często nie dostrzega naszych wysiłków: mojego i mamy. Pewnie tacy już są!

— Coś pani powiem: pierwszy mąż ożenił się ze mną dla kariery. Drugi — dla kariery się rozszedł.

Pokręciłam głową.

— Jak to?

— Ano tak. Pani jest młoda, nie pamięta, jak było za poprzedniej władzy! Ja już mam sześćdziesiątkę. Byłam córką sekretarza. W małym mieście. Ale i tak to była figura. Mój pierwszy mąż skorzystał na małżeństwie. Wystrzelił, dzięki partii, aż do Warszawy. A w stolicy była mu potrzebna inna żona. Taka do reprezentacji. Bo chodzi po ambasadach, przyjęciach. Więc się ożenił z mówiącą.

— Co?

— Z mówiącą. Po angielsku.

— Te czasy to dla mnie... odległa historia — wybąkałam. Skinęła głową. Rozumiała. Ale czuła nieprzepatą potrzebę mówienia. Może od dawna nie miała z kim?

— Było, minęło. Drugi mąż, z którym mam syna, zapisał się w osiemdziesiątym dziewiątym do opozycji. Znaczą... Solidarności.

— To dobrze.

Spojrzała mi prosto w oczy.

— Nic ty nie rozumiesz z życia! Ale ono cię jeszcze dostanie, życie.

— Może i mało rozumiem, ale...

Z cichym trzaskiem zamknęła torebkę. Łokcie oparła na kolanach. Teraz dopiero zobaczyłam, że nie była naturalną blondynką.

44

45

Przy skórze, na centymetr, widniały brązowo-siwe odrosty. Pomyślałam sobie, że fryzura pani Marianny jest o wiele elegantsza. I niczego nie ukrywa. Milczałam.

— Tadek też mnie rzucił.

— Drugi mąż? — podjęłam skwapliwie.

— Tak. Powiedział, że mu przeszkadza żona, która była córką sekretarza. I partyjna.

— Tak powiedział? — zdziwiłam się. — Już pani nie kochał?

Wzruszyła ramionami.

— Miłość... co to takiego? Sama się przekonasz. Mężczyźni dziś są, jutro ich nie ma. Rozwodzą się albo umierają. Wiesz ty, ile jest samotnych wdów? Miliony! Wiem, bo często z nimi mieszkam na wycieczkach. W zeszłym roku jechałam do Hiszpanii autokarem, w którym było tylko pięciu mężczyzn! Reszta — samotne, stare i zniszczone życiem baby!

— Ale podróżują! — ożywiłam się. — Ludzie na całym świecie zaczynają podróże w

starszym wieku. Lubią to.

Pokiwała głową.

— Wiem. Widziałam chmary Japończyków. Sami emeryci. Dlatego wszystkie zarobione na handlu pieniądze wydaję na podróże. Co mi zostało? Tyle, co człowiek świata zobaczy.

— A syn?

— Już dorosły. Poszedł za ojcem. Wyjechał z kraju. Rąbie las w Kanadzie. Nawet kartki na święta nie przysyła.

— Może oszczędza? Oni tam wszyscy z początku oszczędzają. Jak się dorobi, ściągnie panią.

Cień uśmiechu przemknął po jej twarzy.

— Nigdzie nie wyjadę. Polska to mój kraj. Może być lepiej lub gorzej, ale jestem u siebie. I znam każdy dom w okolicy. Sąsiadów, sklepikarzy. Nie, nigdzie się nie ruszę. Tu umrę.

Wstałam z fotela. Kobieta mogła już zostać sama. Uspokoili się na tyle, że nie podniesie alarmu.

— Muszę iść na swoje miejsce. Przytrzymała mi dłoń. Łagodnie pogładziła palce.

— Jesteś dobrą dziewczyną. Dziękuję, już nie będę wrzeszczeć, nawet jak się pojawi UFO.

46

Posłałam jej serdeczny uśmiech.

— Jakoś to będzie. Byle się tym draniom nie narażać niepotrzebnie.

Przechodząc wzdłuż opuszczonych foteli, usłyszałam za plecami czyjś ostry głos:

— Kaja! Zaprowadź Dorotę do toalety!

Odwróciłam głowę. Kaja to była dziewczyna, która mi pomogła usadzić panią Bożenę. Siedziała sama z zamkniętymi oczyma i głową odchyloną na oparciu. Nie drgnęła, nie odpowiedziała na wezwanie. Wyglądała na osobę, która nie widzi i nie słyszy. Raczej dlatego, że nie chce.

— Kaja! — mężczyzna wyglądający na jej ojca podniósł głos. Nie było to zbyt bezpieczne. Zza zasłony wyłonił się Rolex- — Kaja!

Postanowiłam interweniować.

— Może ja w coś pomogę. Kaja śpi.

Mężczyzna wyglądał jak przed atakiem apopleksji. Jego policzki mieniły się białymi i czerwonymi plamami. Na przemian. Miał na sobie nienagannie skrojony garnitur z kamizelką i dobrze dobrany krawat. Zawsze staram się zwracać uwagę na takie rzeczy- Jego żona, ładna i delikatna szatynka, nerwowo strzepiła chusteczkę. Wyglądała na zahukaną i roztrzęsioną. Obok siedziała starsza od Kai dziewczyna. W rękę trzymała składaną białą laskę. Jej ogromne oczy patrzyły pusto.

— Proszę ją zbudzić! — głos mężczyzny niebezpiecznie wznosił się na pogranicze krzyku. — Natychmiast! Zna swoje obowiązki!

Jest niewidoma — pomyślałam. Ta druga. Teraz sobie przypomniałam jak przez mgłę.

Kiedy przyszły do toalety, siostra mówiła do siostry: stań tutaj, podnieś rękę.

Teraz sukienkę. Nie bój się, Dorotko. To tylko sprawdzanie, czy nie przemycasz rewolweru.

— Zaprowadzę pańską córkę. Potrafię to zrobić!

— Tadzienku, pozwól, żeby pani...

— Nie! Kaja!

Jego osty głos przywołał znów Rolexa. Tego się bałam najbardziej.

— Cisza! — wrzasnął. — Jeszcze jedno słowo i kula w łeb! Zrozumiano?

Mężczyzna głośno sapał. Być może dopiero teraz do niego dotarło, że nie jest u siebie w domu, lecz w samolocie. Na dodatek porwanym. Mamrotał coś, szarpiąc węzeł krawata. Jego żona cichutko pojękiwała. Tylko niewidoma Dorota siedziała wyprostowana. Bezgłośnie niczym ćma.

— Chodź — powiedziałam biorąc ją za rękę. — Pójdziemy razem do toalety.

— Ale... ja nie mogę — wyszeptwała. — Nie potrafię sama...

— Rozumiem. Pomogę ci.

Rolex wycofał się, stwierdziwszy, że nie ma nic do roboty. Też zauważył białą laskę dziewczyny. Nie sądzę, by go to rozczuliło. Raczej utwierdziło w przekonaniu, że nie jest groźna.

— Ale gdzie jest Kaja?

— Chodź!

Niechętnie wstała. Chwyciła mnie tak mocno za łokieć, że aż zabolalo. Staralam się nią sterować. Ruszała się wyjątkowo niezdarnie. Jak osoba, która nigdy nie postawiła kroku bez opieki.

— Daleko? Daleko? — powtarzała, postukując laską po oparciach foteli.

— Uwważaj. Nie trzymaj tak wysoko laski. Możesz komuś wybić oko. Niechcący...

Usłuchała. W toalecie nie potrafiła się rozebrać. Musiałam zrobić to za nią.

Zauważyłam, że ma bardzo ładną bieliznę. Droga i trochę fiymuśną. Podałam jej papier toaletowy.

— Tu możesz umyć ręce.

— Gdzie? Nie chcę! Dlaczego nie ma Kai?

Zupełnie nie wiedziałam, co o niej myśleć. Dziewczyna była w moim wieku, może ciut starsza, zadbana, czysta, ale kompletnie bezradna.

— Kaja usnęła. Widocznie jest zmęczona.

— Moja siostra? — zdumiała się, dotykając dłonią obrzeża brudnej umywalki. — Ona nie ma prawa być zmęczona.

Podałam jej papierowy ręcznik. Jeden z ostatnich w pojemniku. Pomyślałam przy tym, że za godzinę, dwie, jeśli nic się nie zmieni, toaleta zatka się kompletnie. Woda ciurkała cieniutkim strumykiem przypominającym jedwabną nitkę.

— Każdy człowiek ma prawo do prywatności, nie sądzisz?

— Ale Kaja... ona ma mnie... musi.

Poprawiłam jej spódnice i piękną jedwabną bluzkę z kokardą. Dziewczyna była wysoka, szczupła, przypominała trzcinę. Podłużny owal twarzy przykrywały półdługie włosy koloru kasztana. Będzie kiedyś piękną kobietą. Pewnie samotną.

— Masz także matkę.

Położyła mi rękę na ramieniu. W toalecie było zbyt ciasno, by dwie osoby mieściły się swobodnie. Chciałam już wyjść. Wprawdzie nie cierpiałam na klaustrofobię, ale, przyznam, nie przepadałam za ciasnymi, małymi pomieszczeniami. W dodatku śmierdzącymi.

— Mama? — w jej głosie brzmiało bezgraniczne zdumienie. — Mama zajmuje się tatą. No... także naszym domem. I ogrodem.

Otworzyłam drzwi. Wyjrzałam przez szparę, nie chcąc się niepotrzebnie napatoczyć na Zieloną Maiynarkę. Bałam się go. Nie wiedziałam, co mu może strzelić do łba.

Wydał mi się nieco... psychiczny. „Psich”, jak określamy tych kolegów z uczelni, którzy nie potrafią się przystosować. Za drzwiami nie było nikogo. Pociągnęłam

za sobą Dorotę.

— Wychodzimy. Nie stukaj teraz laską.

— Przecież muszę. Tego mnie nauczono.

— Zapomnij na moment o wszystkim, co ci wpojono. Nasza sytuacja należy do ekstremalnych. Idziemy.

Wpiła się palcami w mój łokieć z taką siłą, że aż syknęłam. Do-holowałam ją do miejsca i pomogłam usiąść. Żadne z rodziców się nie odezwało.

— Dziękuję, że mi państwo pozwolili sobie pomóc — nie wytrzymałam nerwowo.

— Co? Ach, tak — odezwał się mężczyzna, zaplatając i rozplatając palce. — Siadź, Dorotko.

Zacisnęłam zęby. Nie znałam dotąd ludzi ich pokroju. Odechciało mi się znów paradować przez cały samolot, tym bardziej że z kuchenki wytaczał się metalowy wózek z butelkami wody mineralnej. Pchała go Jola. Dziwne, że bez LOT-owskiego uśmiechu.

Przycupnęłam koło śpiącej Kai.

4 — Zatrzymajcie świat...

49

— Kto ma ochotę na mineralną? — pytała stewardesa, rozdając plastikowe kubki.

— Proszę — uniosłam wzrok. — I dodałam cichutko: — Gdzie oni są?

— W kabinie — odparła szeptem. — Nie wiem, co robią, bo kapitan czuje się źle...

— Zmieniła mu pani bandaż? — piłam wolno, czując na wargach słonawy smak pękających bąbelków gazu. — Próbowалаm go uwolnić, ale nie potrafiłam. Do tej taśmy trzeba piły mechanicznej.

— Wiem. Też nic nie mogę zrobić. Oni tam założyli coś w rodzaju sztabu.

Porozumiewają się za pomocą radia i telefonu komórkowego.

Odpłynęła zabierając brzęczący wózek.

— Która godzina? — usłyszałam głos Kai.

— Zbudziłam cię? Przepraszam. — Podniosłam przegub na wysokość oczu. Światła w kabinie były słabsze niż na początku. — Jest już szósta.

— Jak długo tu już stoimy?

Próbowалаm policzyć. Zaraz... wystartowaliśmy z Warszawy

0 czternastej trzydzięci. Lecieliśmy tylko dwie, dwie i pół godziny.

— Szesnaście godzin. Boże mój! Nawet nie zdawałam sobie sprawy z upływu czasu!

— A ja tak. Przefiltrowалаm całe swoje życie.

Spojrzałam w bok. Kaja nie była podobna do Doroty. Miała grubsze rysy, ostry, wystający podbródek, znamionujący siłę charakteru,

1 po matce małe, różowe usta. Jej włosy zwijały się w naturalne pierścionki.

Byłaby ładniejsza, gdyby je zapuściła, przykrywając uszy o nieco zbyt mięsistych płatkach. Robiła wrażenie trochę zaniedbanej osiemnastolatki.

— Mówią, że tuż przed śmiercią człowiek widzi całe swoje życie. Ale ja tego nie potwierdzam. Stale mam wrażenie, że to tylko koszmarny sen. Że się obudzę...

— W świergocie ptaszków? Roześmiałam się cicho.

— Tam na Wyspach Kanaryjskich są podobno najpiękniejsze

50

papugi świata: błękitne. Ale chyba nie świergołą. Cieszyłaś się na ten wyjazd?

— Nie. — Otworzyła oczy. Były brązowe i błyszczące. — Nienawidzę tych naszych podróży.

— Dlaczego? Zbyt często wyjeżdżacie? Znudził cię świat?

— Znudziło mnie życie.

Spojrzałam na nią z ukosa. Chyba mówiła serio.

— A... co robisz? Usiadła wyprostowana.

— To, co robi pies. Prowadzę niewidomą.

Żachnęłam się. Jej głos brzmiał tak naturalnie, choć mówiła rzeczy straszne.

— Nie fiksuj!

— Co ty wiesz! — wybuchnęła. — Co ty wiesz, do cholery! Jesteś tu, w tym samolocie, niczym siostra samarytanka! Każdemu chcesz pomóc, każdemu usłużyć... narzucasz się, stara!

Nigdy nie przypuszczałam, że moje postępowanie spotka się z tak totalną krytyką. Może, rzeczywiście, przesadziłam? Ale przecież wszystko, co robiłam, było protestem! Moją niezgodą na zaistniałą sytuację. Pomagając nieznanym, marzyłam tylko o tym, by im, tym cholernym typom z żelastwem w garści, utrudnić życie. Nie potrafię usiedzieć na miejscu, bez ruchu, przez szesnaście godzin! Może tego nie zrozumiała?

— Możliwe. Ale żadne z twoich rodziców nie ruszyło tyłka z fotela, by pomóc Dorocie.

— Wiem o tym. Nie sądzisz, że moja siostra stała się zbyt uzależniona?

— Jest. Sama się temu dziwię. Ale matka mogłaby... Roześmiała się gorzko.

— Moja matka musiała urodzić drugą córkę, ponieważ tato wiedział, że Dorota będzie potrzebowała psa-przewodnika!

Nie mieściło mi się to w głowie. Kaja najwyraźniej fantazjowała.

— A tak naprawdę? Dlaczego nie ma psa-przewodnika? Dziewczyna uspokoiła się.

— Pies kiedyś przecież zdechnie. A siostra nie. Oni naprawdę zafundowali sobie drugie dziecko, by się opiekowało pierwszym.

5/

Dorota urodziła się niewidoma. Nie pomogły żadne operacje. Kiedy skończyłam dziesięć lat, mój ojciec odebrał ode mnie uroczyste przyrzeczenie, że nigdy nie opuszczę Doroty. Zdmuchnęłam świece z tortu i przysięgłam na zdrowie mamy. Rozumiesz?

— Nie. Rodzice mogą kogoś przyjąć... wygląda, że stać ich na to.

— Kogo?

— Pielęgniarkę.

— Ojciec jest realistą. A Polska to nie Ameryka. Tato doskonale wie, że nie znajdzie nikogo, kto się będzie Dorotą opiekował do jej śmierci. To może zrobić tylko młodsza siostra!

Milczałam. Cóż mogłam na to powiedzieć. Woda w kubeczku przestała już(wydzielać gaz. W samolocie panowała cisza przerywana pochrapywaniem śpiących. Strach strachem, a organizm ludzki domaga się swoich praw.

— Pogodziłaś się z tym? Uśmiechnęła się. Miała piękne, białe zęby.

— Tak myślałam. Mama kiedyś wpadła na pomysł, by mnie oddać do klasztoru. Żeby tam nauczyła się pokory i opieki nad chorymi. Rozmawiała nawet z przełożoną szarytek. Ale to nie było takie proste. One muszą się zajmować innymi. Nie tylko rodziną. Sprawa upadła.

— A gdybyś chciała wyjść za męża? To co? Zastanowiła się. Zmarszczyła ciemne brwi.

— Prawdopodobnie tato zażądałby od mego męża podpisania zobowiązania, że Dorota zostanie z nami.

Kręciło mi się w głowie.

— Bzdura. Nikogo nie można do niczego zmusić siłą.

— Można. Jak się jest najlepszym w kraju prawnikiem. I zna wszystkie kruczki. Dziś się zbuntowałam po raz pierwszy. Dziś rozumiałam także, że moi rodzice to jest sentymentalna, dwuosobowa msza żałobna. Droga msza. Bo mają straszne pieniądze.

Głośnik nagle zachrypiał. Dźwięk rozległ się niezbyt wyraźnie:

— Proszę państwa... mówi kapitan Pawłowski. Dwa tysiące ma-rines wyspecjalizowanych w operacjach odbijania zakładników jest już u wybrzeży... przyplłynęli na trzech okrętach, które przerwały rutynowe ćwiczenia w pobliżu Sardynii...

52

Nie dokończył. Rozległ się pojedynczy strzał.

— Boże, zabili kapitana! — wyszeptałam czując, jak krew odpływa mi z serca. Nie potrafiłam usiedzieć na miejscu. Przed oczyma miałam twarz zmęczonego człowieka o skrępowanych dłoniach i zabarwionym krwią bandażu. Starał się dodać nam otuchy. Powiedział pewnie to, czego się dowiedział od obsługi wieży kontrolnej. Teraz nasz boeing przypominał puszkę sardynek, z której wylała się oliwa.

— Do diabła! Dlaczego to tak trwa! — wyjęczałam do ucha pani Marianny, gdy już dotarłam do swego miejsca.

—Co?

— Odbijanie zakładników!

Wzruszyła ramionami. Starsza pani najwyraźniej wciąż nie traciła pogody ducha.

— Boją się o pasażerów. Przy użyciu siły zawsze ktoś ginie. I niekoniecznie są to terroryści.

Żeby już znaleźć tego jakiegoś Kinga! Może wtedy by nas wypuścili — myślałam tak, choć nie było w tym rozumowaniu zbyt wiele logiki.

Pani Marianna pokręciła głową.

— Co by im z tego przyszło? Zlikwidowanie Kinga nie zwalnia tej czwórki od kaii za grzechy popełnione na ludzkości.

Przymknęłam oczy, ale nie wytrzymałam długo. Nie miałam żadnych szans na sen.

Mój organizm pracował na zbyt wysokich obrotach.

— Właściwie gdzie jest ten czwarty? Siedzi gdzieś ukryty. Ale gdzie?

Starsza pani parsknęła śmiechem.

— Czuję, że masz ochotę go uwolnić! Jesteś, Ewo, jedyną istotą na pokładzie, która stale chce działać.

Zastanowiłam się. Miała rację. To samo stwierdziła Kaja. Czy jestem nienormalna?

— Bezruch wprawia mnie w lęk. Nie boję się tylko wtedy, gdy się coś dzieje.

— Odwaga, Ewo, nie istnieje. Jest tylko strach. Ale zauważ, że ludzie w zamkniętej przestrzeni mają poczucie wspólnoty. My też ją

53

mamy. Kiedy wchodziliśmy do samolotu w Warszawie, nikt nie znalazł nikogo. A teraz?

O ilu sprawach dowiedziałaś się w ciągu minionych kilkunastu godzin? Kiwnęłam głową.

— Ma pani rację. Parę osób opowiedziało mi swoje życie. Ale pani nie.

Uśmiechnęła się, szukając czegoś w torebce. Wyjęła puderniczkę, uważnie przyglądając się własnemu odbiciu.

— Nie wiesz, czy jest tam jeszcze trochę wody?

— Gdzie? W toalecie? Nie sędzę. Ale dziewczyny mają mineralną. Można jej użyć do

mycia twarzy i rąk. Sama to zaraz zrobię.

Wstawałam, gdy chwyciła mnie za rękę.

— Idę z tobą.

Puściłam ją przodem. Była nieco wyższa ode mnie, choć przygarbiona. Poruszała się ciężko, ostrożnie stawiając stopy na szarym chodniku, jakby się bała potknąć. Kiedy weszła do toalety, uprosiwszy Kasię o butelkę mazowszanki, zostałam na zewnątrz. Nie chciałam, by mnie ktoś ubiegł w kolejce. Stojąc oparta o chłodną ściankę, usiłowałam podsłuchać lub podpatrzeć, co robią terroryści. Jednak to nie oni przysporzyli mi kolejnego stresu, lecz... stewardesy. Nie widziały mnie. I chyba nie podejrzewały, że ktoś słucha ich rozmowy.

— Wiesz — mówiła Jola nerwowym szeptem — nie wiem, kim jesteś, ale widziałam to.

— Co? — zasyczała Kasia. — Co widziałas?

— Broń. Pistolet maszynowy. Jest ukryty w wózku na posiłki. Jesteś z nimi w zмовie?

Poczułam pot ściekający mi po plecach. Naturalnie! Wózek z tackami. Metalowy, zamknięty, na kółkach. W takim wnętrzu może być wszystko: kotlet z marchewką, wędlina z jajkiem i karabin maszynowy. Także granaty, pociski i mazowszanka! To właśnie mi cały czas pływało w mózgu niczym kijanki w stojącej wodzie. Tak, teraz zrozumiałam, w jaki sposób broń terrorystów dostała się na pokład. Jak to powiedział kapitan Pawłowski? Z cateringiem! Słowo, którego nie zapomnę do końca życia.

— Nie jestem — odparła Kasia. — Z nimi w zмовie nie jestem.

— Az kim? Z tym, którego szukają?

54

Bardzo długo nie było odpowiedzi. Kiedy padła, o mało nie zemdlałam.

— Tak. Ale go nie znajdą. Nigdy.

— Dlaczego?

— Bo nie wiedzą, jak wygląda. A ja im nie powiem. Ty też nie. Znow zapadła cisza przerywana brzękiem szkła.

— Jasne, że nie powiem. Bo nie wiem. Ale gdyby tę broń miał kapitan...

— To już by nie żył. Pomyśl, głupia, jeden przeciwko czterem?

— No tak. Co zamierzasz? Kasia chyba się namyślała.

— Nie mogę się skontaktować z moim pryncypałem. Nie teraz.

— Do cholery! Strzelali do Pawłowskiego. Nie wiem, czy żyje!

— Uspokój się! — głos Kasi stawał się coraz ostrzejszy. — To nic nie da. Jeśli będzie trzeba, wykorzystam broń. Umieję się nią posługiwać! Ale ty lepiej wsadź mordę w kubeł. Tu nie ma żartów! Jasne? Zajmij się żarciem dla ludzi. Już czas! Nie chciałam, by mnie któraś nakryła na podsłuchiwanie. Wiedziałam już dostatecznie dużo, by znow zacząć się bać o własne życie. Za wielu w tej blaszance ludzi, broni i terrorystów. Postanowiłam dokładnie obserwować Kasię. Może zdradzi się w rozmowie z którymś z mężczyzn? Może spróbuje dać mu jakiś znak?

Pani Marianna wróciła wyraźnie odświeżona. Pachniała wodą kolońską, co sprawiło mi przyjemność. Moje własne kosmetyki znajdowały się w torbie. A torba w luku bagażowym.

— Ładnie pachnie — pochwaliłam.

— Chcesz?

Chciałam. Buteleczka nosiła znak francuskiej firmy i musiała kosztować majątek. Zapach szypru rozszedł się, zabijając na chwilę woń dawno nie mytych ludzkich

ciał. Poczułam się lepiej.

— Zaczynam być głodna.

— Masz prawo. Minęło tyle godzin.

Znów coś się działo w przedniej części samolotu. Z kabiny pilotów dochodziła ostra wymiana zdań.

— Oho — mruknęłam wyglądając ostrożnie — zaczynają się niesnaski pomiędzy porywaczami. A to niedobrze wróży!

5 5

1

— Co robią? — pani Marianna, siedząc przy oknie, nie miała żadnego pola widzenia.

— Boże! — jęknęłam. — Wywlekają kapitana!

— Jak możesz stąd dostrzec, że to kapitan? — denerwowała się, wrzucając do torebki zużytą chusteczkę higieniczną.

— Widziałam fragment munduru i zabandażowaną głowę. Chyba go wyrzuca...

— Co?

— Nie wiem... ciągną go po ziemi.

Ludzie zaczęli się budzić, szeleścić gazetami, rozmawiać ściszymi głosami.

Nasza sąsiadka w kolorowej bluzce przekazywała wiadomości podawane z pierwszych rzędów. Gdyby nie było tak strasznie, można by to porównać do zabawy w głuchy telefon.

— Nie otworzyli drzwi.

— Tylko co?

— Podnoszą klapę... jeden schodzi.

— Który?

— Ten w marengo... nie, w zielonej marynarce. Znoszą go w dół.

— Kapitana?

— Tak. Strasznie jęczy. O, teraz schodzi taki w szarym garniturze. Jego też popychają.

Przymknęłam oczy. Skoro jęczy, to żyje. Ale i tak nie będzie zdolny do podniesienia maszyny z pasa startowego. Jak by nie patrzeć, nasza podróż dobiegła kresu. I cóż nam mogą pomóc mari-nes, choćby i amerykańscy, którzy przerwali swoje ćwiczenia u wybrzeży Sardynii! A swoją drogą, co oni tu ćwiczą, w Europie? Może to okręty NATO? Licho wie!

! Jola, w asyście Czarnej Maski, wytaczała metalowy wózek z pa-kameiy.

Zatrzymała się w przejściu, by wziąć do ręki mikrofon.

— Proszę państwa. Podamy teraz to, co nam zostało do jedzenia. Nie możemy niczego podgrzać, ale...

— Dawać, co jest! — wrzasnął zbudzony Zdzisio Kondek, palcami przeczesując zwichrzoną czuprynę. Jego żona, Basia, ustawiała blat służący za stolik.

St-arałam się zajrzeć do wnętrza wózka, szukając śladu lufy lub choćby rękojeści karabinu. Ale w szufladkach były tylko plastikowe tacki w srebrnej folii.

— Wiem, gdzie przemycili broń — szepnęłam pani Mariannie.

— Doprawdy?

— Tak. W tych wózkach. To się nazywa catering. I przyjeżdża wprost do samolotu. I wiem coś jeszcze: chyba zamieszana jest w to Kasia. Ta czarna!

Moje słowa musiały zrobić wrażenie na starszej pani, bo zamarła z otwartymi ustami.

— Skąd o tym wiesz?

— Trochę z obserwacji. Resztę podsłuchałam. Pokręciła głową z niedowierzaniem.

— Byłabyś dobrym detektywem. Jak dorośniesz, powinnaś założyć agencję.

Oczywiście, o ile wyjdziemy stąd cało i zdrowo.

Jola zatrzymała wózek. Podała nam tacki i bez słowa odjechała dalej. Zajęliśmy się jedzeniem. Kawalki kurczaka, nieco obeschłe, leżały na listkach zwiędłej sałaty. Obok zielonego groszku i pasemek czerwonej papryki.

— Wygląda niezbyt apetycznie — stwierdziłam, choć czułam już wyraźne burczenie w żołądku.

Pani Marianna jadła dużymi kęsami. Groszek wylawiała plastikową łyżeczką.

— Spodziewałaś się kawioru i szampana?

— Nie, skądże. To przecież tylko lot czarterowy. Bez luksusów i pierwszej klasy. Czy pani pamięta, że dziś Wigilia?

Stara dama odłożyła plastikowe sztucce. W zagłębieniu tacki leżało ciastko zapakowane w kolorowy papierek.

— Chcesz? Ja nie jadam słodczy. Cukrzyca.

Chciałam. Mogłam zjeść konia z kopytami. Kruszące się na języku ciasto miało smak gipsu.

— Stare jak świat.

Roześmiała się. Jej duże zęby przypominały chwilami zęby wilka z bajki o Czerwonym Kapturku. Ale była sympatyczna i nie jęczała z powodu zaistniałej sytuacji.

— Wspomniałaś o Wigilii. Zdaje się, że spędzimy ją tutaj. W tych małych malowniczych wnętrzach. Bez choinki, prezentów i karpia.

56

57

Oblizalam usta.

— Przecież wszyscy jesteśmy w jakimś sensie uciekinierami od karpia! I tradycji. Po to wystartowaliśmy na Wyspy Kanaryjskie, by coś zmienić w swoim monotonnym życiu. Moi rodzice byli w stanie to zrozumieć, choć teraz zapewne umierają z niepokoju. Ale wiele sardynek z naszej puszkii chciało się zwyczajnie oderwać od śniegu i pasterki. Przecież wiedzieli, że na Teneryfie nie odnajdą świerków obsypanych białym puchem. Tylko papugi.

Kiwała głową, nie przerywając. To właśnie mi się w niej podobało. Starzy ludzie zbyt często są skłonni do pouczania. Szczególnie młodzieży. Między mną a moją sąsiadką było pięćdziesiąt sześć lat różnicy. A uważnie słuchała, co mówię.

— Masz rację... oho... — przywarła twarzą do okienka — coś się dzieje na zewnątrz.

Wiele osób porzuciło zucie kurzych kości i przylepiło się do bulajów.

— Coś wiozą.

— Co?

— Schody?

— Nie! Jakaś cysternę. Albo inną maszynę. — Pan Kotlarski miał najlepszy ogład.

— Może chodzi o tankowanie? — denerwowała się pani Jan-kowska. — Polecimy?

Zdzisio Kondek wyjadał palcami uciekające ziarenka groszku.

— Zaraz, akurat! Ma pani pomysły! Bez pilota, nawigatora i z terrorystami na pokładzie!

— Nie musi pan być taki nieuprzejmy! — odezwała się Kotlarska z przyganą w

głosie. — Jeśli terroijści postawili ultimatum, zechcą lecieć dalej, to możemy dostać tutejszą ekipę. Wszędzie na lotniskach są jacyś... no, zapasowi piloci. Nie?

— Możliwe. Teoretycznie. — Basia Kondkova usiłowała ratować zszarganą opinię męża.

— Odjechała — zasmucił się pan Kotlarski. — Ta cysterna odjechała. Która godzina?

Była szósta trzydzieści rano. Szesnaście i pół godziny postoju. Zimny, grudniowy dzień z późnym świtem. Jeszcze dużo wody

5 8

upłynie, zanim wszędzie słońce i zobaczymy coś więcej niż tylko betonowy pas w świetle co i rusz gasnących reflektorów.

Jak zwykle, niczym diabeł z pudełka, spod podłogi wylazł Ro-lex, strasząc gotową do użycia bronią.

— Dwadzieścia kobiet wychodzi. Musimy zmniejszyć liczbę osób w maszynie!

— Aż dziw, że się tłumaczy! — mruknęła pani Marianna, chwytając torebkę.

Z foteli zerwały się, w popłochu zbierając swoje rzeczy, obie zakonnice oraz „wdowy” po świętej pamięci panu Bronisławie. Nie patrzyły na siebie, ale zachowywały się identycznie.

— Siadać! — wrzasnął facet w marengo. Pojawił się z tyłu i widać było, że jest wściekły. Chyba rokowania nie wypadły po jego myśli. — Ja wybieram!

Kobiety niechętnie przycupnęły.

— No, to ja nie mam szans — powiedziała półgłosem — obaj mnie nie cierpią. Ale może panią wypuszczą. Czy mogłaby pani, tam na wolności, dać znać moim rodzicom, że żyję?

— Masz jakąś wizytówkę?

Przecząco pokręciłam głową. Nie jestem żadną bizneswoman. Nigdy mi nie przyszło do głowy sprawić sobie wizytówki.

— Napiszę telefon, dobrze?

Nie zdążyłam. Oprawca ominął nasz rząd. Nawet nie spojrzął na panią Mariannę.

Wybierał przeważnie panie, które siedziały same. Napięcie rosło. Usiłowała je rozładować matka Doroty i Kai.

— Moja córka jest niewidoma. Nie wytrzyma tego piekła. Chcę, żeby wyszła. Razem z siostrą, która się nią opiekuje...

Mężczyzna zatrzymał się. Prawdopodobnie nie wzruszył go widok białej laski.

Raczej to, że dziewczyna mogła stać się kłopotliwa.

— Idziesz!

Dorota wpiła się palcami w siedzenie.

— Nie! Nie chcę! Boję się!

— Idziesz! Już! — szarpnął ją za ramię.

— Idź, Dorotko! Kaja pomoże cię sprowadzić! Moja druga córka tam siedzi... —

Zdesperowana kobieta też zaczęła szarpać się z niewidomą.

5 9

i

Spojrzałam na Kaję. Siedziała niczym kukła. Bez ruchu. Jakby jej to wszystko nie dotyczyło. Przebiegłam parę rzędów.

— Kaja! — szepnęłam. — Ocknij się! Nie świruj! Możesz wyjść na wolność!

— Wolność! — wysapała z wściekłością. — Jaka tam mnie czeka

wolność? Z Dorotą? Zerwałam już tę kulę u nogi. Nigdy więcej. Niech matka z nią idzie.

Obejrzałam się. Dorota, wleczone przez Rolexa, wrzeszczała wniebogłosy. Jej matka zatykała sobie dłońmi uszy. Nie ruszyła się. Nie wstała. Nie pobiegła na pomoc dziecku. Jej mąż przełykał ślinę i też siedział wyprostowany, jak woskowa kukła, w swoim drogim ubraniu z kamizelką. Jego nienagannie związany krawat i ulizane włosy sprawiały wrażenie, jakby nic się nie działo. Jakby lot trwał niewzruszenie, a bajkowe wyspy były tuż-tuż, na wyciągnięcie ręki.

Kaja poderwała się nieoczekiwanie.

— Mamo! Idź z nią! Ty idź!

— Matka nigdzie nie pójdzie. Zostanie tutaj. Opieka nad Dorotą to twój obowiązek! — mężczyzna krzyczał, zagłuszając zgiełk. Robił to jednak w pozycji całkowicie nieruchomej. Tylko jego usta rozchylały się i zamykały. Nawet ludzie tak prymitywni jak nasi porywacze zaczęli się wahać. Dorota tkwiła w przejściu, blokując ruchy innym wybranym. Tego już nie mógł zaakceptować najważniejszy z nich: Czarna Maska. Chwyił niewidomą wpół i siłą wyciągnął z przejścia. Za to Marengo wywlókł z fotela opierającą się matkę dziewczyn.

— Żona nigdzie nie pójdzie! — darł się ojciec i zapewne doszłoby do rękoczynów, gdyby go Rolex nie strzelił kolbą w zęby. Krew rzuciła mu się ustami, plamiąc nieskazitelny błękit koszuli. Nie rozumiał, co się dzieje. Nie akceptował tego. Był przyzwyczajony do wydawania rozkazów, których nikt nie ośmielał się odrzucać. Teraz siedział z rozbitą wargą, nie mając siły na wyjęcie chusteczki. Jego historyczna żona wraz ze szczęśliwą dziewiętnastką zniknęła w otworze drzwi.

Powiało chłodem i grozą. Wciąż siedziałam obok Kai. Starła się wyglądać jak bryła lodu, lecz jej palce wykonywały nieskoordynowane ruchy.

— Idź do ojca. Został całkiem sam.

60

Posłała mi tryumfujący uśmiech.

— Tak. Dobrze. Teraz ja stanę się niezbędna. Może nawet obwoła mnie wszem i wobec ukochaną córeczką. Niezależnie od tego, co stanie się dalej, ja wygrałam. Idiotka, która nigdy dotąd się nie buntowała. Ot, pies, który nagle ugryzł.

Rozumiesz?

Rozumiałam. Ale to, co się stało, nie mieściło się w kategorii rozumu. Na moich oczach rozpadła się rodzina. Scementowana, dokładna, zapewne moralna i bogobojna. Wszystko tam było z góry przewidziane, nanizane na sznurek, wygładzone i czyste jak płytki w toalecie. Brakowało jedynie miłości. I odrobiny zrozumienia. Wolności jednostki i głębokiej potrzeby wzajemnych uczuć.

Wstałam, chcąc przepuścić Kaję. Z uśmiechem na ustach szła wyprostowana, by pomóc ojcu, który był w potrzebie.

— Czy to aby nie za późno, Kaju? — wyszeptalam kompletnie skołowana. — Czy pies, który miał całe swoje życie prowadzić niewidomą, ma prawo nie wykonać zadania?

Pies specjalnie tresowany? Poczęli i urodzili człowieka, który miał być psem. A teraz on warknął i ugryzł.

Rolex wcale nie zniknął z pola widzenia. Obchodził samolot, wpatrując się uważnie w twarze siedzących mężczyzn.

— Kto się ostatni golił w łazience? — spytał w ciszy, która nastąpiła po poprzednim zgiełku.

Ludzie popatrywali po sobie. Nikt się nie przyznał.

— O co mu chodzi? — spytałam panią Mariannę.

— Bo ja wiem? — Posypywała czoło zbyt jasnym pudrem. Cała była nim ubrudzona.

— No? — Lufa stuknęła Zdzisia Kondka. Jego żona nerwowo podskoczyła.

— On nie! Pan zobaczy, jaki ma zarost!

Istotnie. Miała rację. Zdzisio po całej nocy wyglądał jak meksykański kaktus. Mężczyźni przeważnie mieli na policzkach ciemny zarost. Zupełnie nie rozumiałam sprawy golenia. O co chodziło mojemu osobistemu wrogowi? Toaleta od dawna była zapchana. Drobniotkie włoski z brody czy wąsów nie mogły pogorszyć i tak tragicznej sytuacji.

— Pogłupieli od tego porywania! — odezwała się sąsiadka

61

w kwiecistej bluzce. Mimo iż siedziała sama, nie została wybrana do szczęśliwej dwudziestki. — Ja już nie mogę-Przesiadłam się o rząd dalej-

— Niech pani się nie poddaje. To nie ma sensu. Wypuszczają po trochu ludzi. Nas też wypuszczą-

— Akurat. Nawet zakonnice zostawili. Masz na imię Ewa, tak? Skinęłam głowę. Kwiecista była niezłe utrzymaną pięćdziesięciolatką. Niestety, o zdecydowanie złym guście. Dwa złote, grube łańcuchy zwisały jej z szyi aż do pasa.

— Tak sobie myślę... a może puściliby nas... za szmal?

— Co? — nie rozumiałam-

— Słuchaj — pochyliła się do mnie konfidencjonalnie. — Ty już znasz tu parę osób. Obserwowałam cię. Może byś z nimi pogadała? Może się zrzucą?

Oślupiałam. Nigdy by mi taka myśl nie przyszła do głowy.

— To nonsens. Oni żądają góry pieniędzy. Co my im możemy dać?

Kręciła głowę o gęstych, kasztanowych włosach. Jej twarz pomimo wielogodzinnego siedzenia w dusznym, nie przewietrzonym pomieszczeniu wyglądała, jakby Kwiecista dopiero co wyszła z salonu piękności. Ani śladu rozmazanego podkładu czy tuszu. Lekki cień opalenizny, pochodzący zapewne z buteleczki najdroższej firmy. Nawet rzęsy grubo pociągnięte mascarą wydawały się naturalne. Wiedziała, jak się malować, i bardzo pilnowała swego wizerunku. Muszę szczerze przyznać, że to mi imponowało. Sama bardzo rzadko używałam szminki. A i tak po półgodzinie przeważnie nie było już po niej śladu.

— Trzeba pogadać z ludźmi- Każdy ma trochę dolarów. Nikt nie jedzie w podróż bez pieniędzy- Założę się, że w tym samolocie uzbiera się niezła sumka. Co, nie mam racji?

Wzruszyłam ramionami, fizyka wyciągnięcia własnej studolarówki ze stanika niezbyt mi się uśmiechała. Poza tym nic wu-rzyłam w finansowe konszachty z Kolem i jego ferajnij.

— No... nie wiem. Zapytam- Ale kogo?

— Pana Zdzisia. Zaczynaj od niego. Powiedz, że n ./.nawiałaś z Kołakową. To ja.

Małżeństwo Kondków rozłożyło się na trzech siedzeni.u h. Mieli

62

torbę z wiktuałami i własne butelki wody mineralnej. Pan Zdzisio już po raz któryś nerwowo pogryzał kabanosy. Nie mogłam się do nich przysiąść, bo nie było miejsca. Szczęśliwie za nimi nie siedział nikt. Już nie siedział. Po poprzedniej „lokatorce" została paczka pierników i chusteczki higieniczne. Ich właścicielka od niedawna napawała się wolnością.

— Proszę pani — poklepałam po ramieniu mlecznoskórą Basie — jest propozycja nie do odrzucenia.

Zdzisio o mało co nie udławił się kabanosem.

— Jaka?

— Pani Kołakową... ta w kolorowej bluzce, sądzi, że powinno się zaproponować porywaczom łapówkę.

Basia skrzywiła usta.

— Bzdura. Co my im możemy dać? Tysiąc dolarów? Ale jej mąż miał całkiem inne zdanie.

— To jest pomysł. Trzeba próbować wszystkiego. Kto nie ryzykuje, w kiciu nie siedzi, no nie? Kto ma z nimi gadać?

— Pan — nikt inny nie przychodził mi do głowy.

— Zdzisiu, nie! — Basia Kondkova chwyciła męża za rękę. — Zabiją cię!

— Za co? Że chcę im dać forszę? — Jego zdziwienie było szczere.

— Ty też idziesz?

— Nie — pokręciłam głową. — Już raz dostałam lufą w szczękę. Dziękuję bardzo. A ponadto mam tylko sto dolarów.

Na mlecznej skórze pani Basi wykwitły rumieńce. Denerwowała się dużo przed czasem.

— Z takim papierkiem to do... sedesu! — prychnął Zdzisio. — Jedziesz, dziewczyno, na Kanary bez forsy?

Oburzyłam się w duchu. Sądzę, że wycieczka jest dostatecznie kosztowna, by nie obskubywać rodziny do gołej skóry.

— Dla mnie sto zielonych to dużo. To co mam powiedzieć Ko-łakowej?

Zdzisio uniósł się z fotela.

— Która to?

Pokazałam palcem, choć mnie w dzieciństwie uczono, by tego nie robić.

63

— Dobra. Pogadam z babką. Wygląda na nadzianą. Domyśliłam się, czym miałyby być owo szlachetne nadzienie.

Dwa potężne łańcuchy na szyi wystarczyłyby na wstęp do każdej rozmowy o interesach. Wróciłam na swoje miejsce, ale ciekawość nie pozwalała mi zaprzestać obserwacji. W ciągu półgodziny Zdzisio wraz z Kołakową przefiltrowali co najmniej czterdziestu pasażerów.

— O co chodzi? — spytała pani Marianna widząc, że wciąż wyciągam szyję.

— Zbierają pieniądze. Na okup.

Parsknęła śmiechem. Trochę zbyt głośnym. Jej duże zęby błysnęły w półmroku.

Chyba ma sztuczną szczękę! — pomyślałam nieco spłoszona. i

— Idioci! Nie wiedzą, o co chodzi w tej grze. Spojrzałam na nią z nadzieją.

— A pani wie?

Oparła głowę o poduszeczkę. Spoważniała.

— Sądzę, że o parę milionów.

— Złotych?

Znów się roześmiała. Gardłowo.

— Dziecko, nie bądź naiwna. Dolarów, naturalnie. Ci biedni nowobogaccy sądzą, że ich zaskórniaki, choćby i duże, wystarczą dla czwórki bandytów zdecydowanych na wszystko? Ci ludzie są mordercami. Nie można o tym zapomnieć.

— Ale ci nasi myślą tylko o uwolnieniu siebie — upierałam się bez sensu.

— Za dwie, trzy godziny znów wypuszczą dwadzieścia osób. I to bez żadnej łapówki. Tak się na ogół dzieje. Karmienie zbyt wielu zakładników jest kosztowne i kłopotliwe. Łatwiej się panuje nad czterdziestką spoconych, nie ogolonych mężczyzn niż nad setką zdesperowanych. A najgorzej nad zbiorowiskiem histerycznych bab!

Spojrzałam na nią ze szczerym uznaniem. Miała rację. Teraz rozumiałam, dlaczego

wypuścili trzydzieści sześć kobiet i czworo dzieci.

— Rzeczywiście. Im mniej ludzi na pokładzie, tym wygodniej... — przerwałam, bo najwyraźniej delegacja szykowała się do działania. Na jej czele kroczył Zdzisio, za nim Kołakową z jednym już

64

tylko łańcuchem na szyi, co zaobserwowałam z odrobiną ironii, państwo Kotlarscy i, ku mojemu zdumieniu, Kaja.

— Uważaj, co robisz! — syknęłam, gdy obok mnie przechodziła. Pochyliła swoją krótko ostrzyżoną głowę w geście pełnym ciepła i uległości.

— Reprezentuję tatusia.

Stewardesa Jola ze zdziwieniem i przestraczem na lalkowatej buzi przyjęła propozycję uczestniczenia w rozmowach. Nawet do mojego rzędu dolatywał jej wysoki, ptasi głos:

— Nie, nie pójdę. Zamknę się w kabinie pilota. Może Kasia? Czarnowłosa nie miała takich oporów, bo zapukała. Wszedł facet w marengo, pocierając nie ogolony podbródek.

— Co jest?

— Ci państwo chcą rozmawiać.

W ciągu następnych dwóch minut rozpętało się piekło. Rolex szalał, rzucając wyzwiskami i grożąc bronią.

— Macie za dużo forsy? Tak? Zaraz się tym zajmę. Co wy sobie myślicie, dupki skończone? Że kim my jesteśmy? Łachmytami? Za wasze uwolnienie zażądaliśmy trzech milionów dolarów, awio-netki i pilota. I wydania nam tego sukinsyna Kinga! To on doprowadził nam kontrakt na taką forszę, o jakiej wam się nie śniło, gnojki!

— Wszyscy cisza! — łyknął Czarna Maska, zrywając kominiarkę z głowy. Widocznie zaczęła mu przeszkadzać.

Wychylona widziałam ich i słyszałam każde słowo. Uważnie przyjrzałam się hersztowi szajki. Był przystojnym mężczyzną koło trzydziestki. Dobrze ostrzyżonym blondynem z ładnie wykrojonymi ustami i prostym nosem. Może tylko zbyt miękki podbródek nadawał mu bardziej chłopięcy wygląd. Tak naprawdę przedstawiał sobą typ mężczyzny, który mi się zawsze podobał.

— No — powiedziała, gdy delegacja wycofywała się rakiem — teraz przynajmniej wiemy, ile jesteśmy warci. Trzy miliony... kupa forsy!

Pani Marianna głośno oddychała. Widać przejęła się nieoczekiwanym wystąpieniem Rolexa.

— Tyle że nikt im za nas nie da nawet jednej czwartej.

5 — Zatrzymajcie świat...

65

— Awionetki też nie dadzą? — targowałam się, jakby to mogło zmienić zdanie amerykańskich marines lub sycylijskiego rządu. W końcu naprawdę nikt nie wiedział, poza porywaczami i kapitanem, gdzie właściwie jesteśmy.

— A po co mieliby sobie głowę zawracać? Myślałam, aż mi mózg puchł.

— Przecież mogliby im pokazać fałszywe dolary. Widziałam to w kinie...

— Ale my tu nie jesteśmy obsadą starego gangsterskiego filmu! Faktycznie. Nie byliśmy. Rozmowa z delegacją przyniosła jednak

skutek. Szkoda, że negatywny. Rolex z czarnym workiem na śmieci maszerował wzdłuż rzędów, zbierając biżuterię i portfele. Za nim garnitur marengo straszyl pistoletem gotowym do strzału. To, że wybrał broń krótką, dowodziło, iż liczy

się z zabijaniem opornych. Ludzie milcząco, lecz z wściekłością wrzucali do środka pierścionki, obrączki i zwitki banknotów. Rolex sprawnie opróżniał kieszenie marynarek i spodni. Przetrzęsał systematycznie torby i siedzenia. Nic nie uszło jego uwagi.

Nie miałam biżuterii. W portfelu dwieście złotych polskich. Studolarówka tkwiła w biustonoszu. Miejsce znane wszystkim złodziejom świata. Ale oni nie byli małymi złodziejaskami, toteż Marengo palnął mnie lufą w ucho, aż ogłuchłam na parę długich chwil.

— Gdzie forsa?

— Nie mam. Ojciec zapłacił za wycieczkę. Na więcej ich nie stać. Rolex uwierzył. Marengo chyba nie. Zajął się jednak panią Marianną, u której znalazł sygnety i sześćset dolarów.

Kołakowa wreszcie przestała świecić swoimi łańcuchami. Znaleźli oba i sporo pierścionków. Kobieta mruczała klątwy, choć ani jeden piorun nie strzelił z jasnego nieba, by trafić prosto w złoczyńców. Pan Bóg zajmował się widać czym innym. W końcu była Wigilia. Rodził mu się Syn.

Do szamotaniny doszło z winy Roberta. Tego młodzieńca, który albo zajmował się seksem, albo pił kolejną puszkę coca-coli. Jego partnerka, blada i wątła dziewczyna o imieniu Ala, poddawała się bezwolnie wszystkim zachciankom. Choć, nic przeczę, krępowano ją, że robią to publicznie. I co najmniej raz w ciągu czterech godzin.

6 6

Właśnie znów miała wciągać spodnie, gdy stanął nad nią Rolex. Marengo gapił się w niemym osłupieniu na kopulującą parę, jakby nie wierząc własnym oczom.

— O, żeż wy... — zaklął szpetnie. Ale Robert niczego nie słyszał. Z walkmanem na uszach słuchał heavy metalu, dostosowując ruchy ciała do taktu muzyki. Miał wprawę. Ocknął się, gdy prawy sierpowy wylądował mu na szczęce. Młodzi siedzieli w ostatnim rzędzie. Dalej była już tylko ściana. O tę ścianę walnął głową, aż huknęło. Ala bezradnie walczyła z zamkiem błyskawicznym. Widok jej gołych pośladków uderzył oprawcy do głowy. Zapomniał o pieniądzach i złocie.

— Chodź! — wrzasnął, ciągnąc dziewczynę za rękę.

— Nie, nie! — broniła się, wczepiając się w fotel.

Nikt się nie ruszył. Nie pospieszył na ratunek. Nawet ja. Wyprowadzili ją do dziobowej części samolotu, służącej czasem za pierwszą klasę. Stamtąd dochodziły jej gardłowe krzyki, przechodzące w zwierzęce wycie. Zatkanam palcami uszy. Serce mi bilo jak oszalałe. Przez wszystkie godziny od chwili porwania nie czułam się tak podle jak w tej chwili. Gardziłam napastnikami, podobnie jak Robertem i dziewczyną za to, że przekroczyli granicę. Granicę czego? Dobrego smaku? Wychowania? Gdzie kończy się człowiek, a zaczyna jednokomórkowiec? Obie zakonnice głośno odmawiały modlitwę. Wzrokiem prosiły o wsparcie. Przyłączyła się tylko pani Kotlarska. Ja nie znałam słów. Jakoś nie czułam potrzeby mieszania pana Boga do doczesnych spraw. Myślałam o bladej Ali, która nie miała na tyle rozsądku czy siły woli, by swemu partnerowi powiedzieć jedno krótkie: nie! Przez głupią uległość zapłaciła najwyższą cenę, jaką może zapłacić kobieta: stała się kawałkiem użytkowego ciała. Sprowokowała ich. Nie da się ukryć. A teraz może im przyjść do głowy, by wykorzystać każdą z nas. Zamkniętą w metalowym pudle bez wyjścia.

Robert pomału się otrząsał. Wstał z podłogi, pocierając czaszkę. Ale walkman nie spadł mu z głowy. Muzyka nadal sączyła swe decybele wprost w spragnione uszy. Wcale go nie zdziwiła nieobecność partnerki. Gdy już przywrócił garderobę do

porządku, otworzył kolejną puszkę coca-coli. Pił głośno i długo.

67

— Ohydny samiec! — wstrząsnęłam się.

— Przecież właśnie tacy jesteście. Wy, dzisiejsza młodzież! — wzruszyła ramionami pani Marianna.

Spojrzałam na nią z ukosa.

— A jak było w czasach pani młodości? Inaczej? Zmrużyła oczy.

— Pięćdziesiąt pięć lat temu? Skończyła się druga światowa. Przez Polskę właśnie przejechały czołgi. Tym razem ze Wschodu na Zachód. Były gruzy i zgliszcza...

— To wiem! — przerwałam brutalnie. — Ale jacy wy byliście? Czy nikt nie słuchał muzyki? Nie uprawiał seksu?

— Z tym czymś na uszach? Dziewczyno! Nie było telewizji, radia, patefonów, gramofonów. Nie było komputerów...

— Ale broń była. I terroryści. Są tak starzy jak świat.

Stara dama sięgnęła do torebki z czipsami. Grzebała w nich uważnie, szukając czegoś na dnie. Wyjęła gruby zwitek banknotów.

— Tu je schowałam. Wcześniej. Czułam, że w końcu zrobią rewizję.

Pokiwałam głową z uznaniem.

— Jest pani osobą przewidującą. Więc jak to było z tą młodością i miłością?

Pokolenie bogobojnych, uczciwych i skromnych panienek? Nikt nie zachodził w pozamałżeńską ciężą, zamiast z chłopakiem do łóżka, chodziliście na pierwszomajowe pochody. Tak?

Uśmiechnęła się naprawdę rozbawiona.

— Tak też bywało. Niemniej po pierwszomajowych pochodach w parkach i laskach aż się trawa ruszała. Tyle tam było par. A co do ciąży... mieliśmy o wiele większe kłopoty. Nie było prezerwatyw ani innych środków. Myślę jednak, że my potrzebowaliśmy większej intymności. Lubiliśmy ze sobą być. Tak po prostu. I niekoniecznie w łóżku.

Wykopali Alę do naszej części samolotu. Miała rozciętą wargę, siniec pod okiem i rozdartą bluzkę. Usiadła obok Roberta, nie uroniwszy jednej łzy. On też nie okazał czułości. Tylko podał jej otwartą puszkę, z której piła chciwie, rozlewając płyn na obnażone piersi.

Nikt się nie odezwał. Jakby nic się nie stało. O dziwo, ja też nie czułam najmniejszej potrzeby pocieszenia nieszczęsnej. Może już zaczęłam zatracać poczucie, co dobre, a co złe? A może tej świadomości wcale nie miałam?

W rzędzie koło modlących się zakonnic zrobiło się zamieszanie.

— Co jej jest?

— Żle się pani czuje? Stewardesa! Kobieta zemdląła. Wyrztałam ponad głowami pasażerów.

— To pani Teresa. Ona jest ciężko chora na raka. — Zanim pomyślałam, byłam już w połowie drogi. Znowu, cholera, ja!

Pani Komornicka, żona fabrykanta zabawek, rozwiniętą gazetą wachlowała zemdloną. Żadna ze stewardes nie pojawiła się na horyzoncie.

Pochyliłam się. Pot wystąpił na czoło Teresy. Spływał grubymi kroplami.

— Musi gdzieś mieć swoje lekarstwo. Trzeba poszukać! — Złapałam granatową lakierowaną torebkę, gdy poczułam silny chwyt na przegubie.

— Zwariowałaś! — Brodaty Komornicki miał przerażenie w oczach. — Nie wolno grzebać w cudzych rzeczach! Może cię oskarżyć o kradzież!

Patrzyłam na niego w kompletnym osłupieniu. Musiałam wyglądać jak ryba wyjęta z

wody, bo otwierałam i zamykałam usta, nie potrafiąc wykrztusić najprostszej odpowiedzi.

— To... chyba pan ma źle w głowie! — pospieszyła mi na pomoc osoba, której się tu nie spodziewałam. Bo Lucyna, niedawna rywalka, nie mogła znieść własnej samotności. Kiedy zobaczyła, co się dzieje, pospieszyła na ratunek. Zrobiła to odruchowo, spontanicznie.

— Teresa! Obudź się! Nie umieraj! Nie zniosę tego! Naprzód Bronek, a teraz ty... Szperaała w torebce, wyrzucając na siedzenie buteleczki i fiołki.

— Wody! Kto ma trochę wody?

Zdzisio Kondek przygałopował z połową mazowszanki. Pomógł usadzić Teresę, podtrzymać jej głowę. Lucyna, spokojna już, można rzec kamienna, odliczała krople.

— Dwanaście... Teresa, nie umieraj!

Chora ocknęła się. Wzrok miała mętny. Z początku nikogo nie poznawała. Ból toczący jej ciało musiał być wyjątkowo silny.

69

— Jej potrzeba morfiny — odezwała się stojąca za mną pani Borkowska. — Wiem, bo jestem pielęgniarką. Życie spędziłam na onkologicznym. Teraz przeszłam na emeryturę. Chciałam się od nich oderwać... od chorych... umierających.

— Ma pani tę morfinę? Przecząco pokręciła głową.

— Nie, skądże. Takich leków nie można kupić w aptece bez recepty. Tego się ze sobą nie wozi...

— Lu... Lucyna? — szeptała śmiertelnie chora ze łzami w pociemniałych oczach. — To ty? Czy... śmierć?

— Ja, Tereso, ja. Tylko ty mi zostałam na tym Bożym świecie! — rozplakała się, nie mogąc trafić kubeczką do zaciśniętych warg chorej.

Postanowiłam spytać stewardesa. Powinny być przygotowane na wszystko. Nawet na poród. Ostrożnie, by niepotrzebnie nie napatoczyć się na kogoś z poiywaczy, wychyliłam głowę, chcąc zajrzeć do kuchennego pomieszczenia. Joli nie było w zasięgu wzroku. Za to Kasia robiła kawę. Poczulałam zapach świeżo zmielonych ziaren i aż mnie zemdlilo. Kawa! Napój bogów! Spijałam po sześć filiżanek dziennie. Dopóki nie zdałam tej cholernej matury. A potem egzaminu na uniwersytet. Kawa w naszym domu była najważniejszą z używek. Mogło brakować masła, pieprzu, ziemniaków... to nic! Ale nie mogło nie być słoika z kawą. Wciągnęłam zapach w nozdrza. Kasia odwróciła się. Miała złą, zmęczoną twarz.

— Czego... chcesz?

— Najpierw kawy. A potem morfiny. Może macie tu choć jeden zastrzyk? Tam umiera kobieta. Na raka.

— Tego nam jeszcze brakowało do pełnego szczęścia! — wymruczała. Ale naląła mi pełną filiżankę mocnego naparu. — Pij, tylko nie mów innym, że ci dałam. Wszyscy będą chcieli...

Cóż, życie w porwanym samolocie zmienia się diametralnie. W normalnym czasie usłużyłaby każdemu. Musiałaby. Chyba że nigdy wcześniej nie pracowała jako stewardesa. Że włożyła twarzowy mundurek tylko po to, by służyć Kingowi. I przemyciła śliczne maszynowe cudeńka niczym sklepowe zabawki dla nieco starszych chłopczyków.

70

— To co z tym zastrzykiem? — odstawiłam filiżankę.

— Umyj, nie mam zamiaru po tobie sprzątać. I nie zawracaj głowy! Muszę dać kawę tym typom. Zamknęli się w kokpicie.

— Pomogę — rzuciłam się widząc, jak na tacy filiżanki tańczą taniec świętego Wita. Nie, chyba nigdy przedtem nie pełniła funkcji kelnerki na pokładzie PLL LOT.

Przeszliśmy ostrożnie między pustymi fotelami.

— Otwórz drzwi. Tylko zapukaj przedtem. Rolex czujnie uchylił szparę.

— Daj tacę. I spadaj!

Nie udało mi się zobaczyć, co tam robią. Pomimo wyraźnej niechęci Kasi postanowiłam się nie poddawać.

— Rozumiem, że nie wiesz, gdzie apteczka. Ale może choć wiesz, gdzie jest Jola? Oparła się plecami o szafkę. Była wyraźnie zmęczona, zła i sfrustrowana sytuacją, która ją przerosła.

— Sprząta wasze gówna. Toaleta się zapchała. Lepiej by było, gdybyście nic nie żarli!

Uśmiechnęłam się promiennie.

— Nikt specjalnie nie liczył na LOT-owskie posiłki. Każdy tu ma przynajmniej jedną torbę pełną kabanosów.

— Cholerni Polacy! — wymruczała, wyjmując z kieszeni paczkę marlboro. Nie widziałam wcześniej, by paliła. — Zawsze wożą te kabanosy! Wozili je za komuny, za Solidarności. I teraz, za kapitalizmu! Sztandar biało-czerwony, Bóg, Ojczyzna i kabanosy!

Rozbawiła mnie. Miała sporo racji. Może jednak była przedtem panią na pokładach PLL LOT? Paliła, nerwowo się zaciągając. Z toalety wyszła blada Jola. Jej twarz przypominała kartkę pergaminu.

— Porzygałaś się? — spytała Kasia. — Twoja robota. Mnie nie zmusisz.

Jola zdejmowała żółte gumowe rękawiczki. Nawet się nie zdziwiła moją obecnością w kuchence.

— To ci nie ujdzie na sucho. Powiem w dyrekcji. Kasia zdusiła peta podeszwą pantofla.

— Możesz donosić. Już nie pracuję. Nie muszę. Jola naląła sobie kawy. Piła małymi łykami.

71

i

— Chyba zejść do bagażowego.

— Oszalałaś? Zabiją cię!

— To zabiją. Mam tego dość. Pawłowski żyje i potrzebuje pomocy. Jest tam całkiem sam, w ciemnościach.

Słuchałam ich dialogu, a w mózgu przewalały się obrazy utrwalone przed paru godzinami.

— Jak się tam schodzi? — zadałam to pytanie zupełnie bezwiednie.

Jola spojrzała na mnie z nadzieją. Sądziła, że może zechce jej towarzyszyć.

— Zeszłabyś ze mną? Tylko... tam jest również czwarty. Ich człowiek. Choć związali go niczym baleron, trochę rozrabia. Nie mam pojęcia, dlaczego go izolują. Wydaje się zupełnie niezrównoważony psychicznie. I dlatego wrzucili go do bagaży. Słyszałam, że nazywali go Szczur.

— Widać taka ksywa. Żaden nie przedstawił się z nazwiska. — Przypomniałam sobie panią Teresę i jej ból.

— Macie tu może morfinę?

— Co ty? — we wzroku Joli była nagana.

— Dla jednej z pasażerek. Cierpi na raka. Myślę, że ta nasza sytuacja wzmoгла ból. Tak twierdzi pani Borkowska. Jest pielęgniarką. To ona wspomniała o

morfynie.

Jola pokręciła głową.

— Nie mamy. Możliwe, że to błąd. Kapitanowi zdążyłam dać zastrzyk kardiamidu z kofeiną. Też bardzo cierpiał.

— Możesz taki sam dać pani Teresie?

— Nie. Kardiamid wzmaga pracę serca. Jej potrzebny narkotyk — odrzuciła z czoła spocony kosmyk. Ponad szesnaście godzin w stresie i jej nie wyszło na zdrowie. Ani na urodę. Dopiero teraz dostrzegłam kurze łapki w kącikach oczu. Wcale nie była taka młoda, za jaką chciała uchodzić. Jeszcze wczoraj. W pełnej krasie m.ikij.i/ti.

Drzwi od kabiny pilotów otworzyły się. Zwiałam.

W kabinie pasażerskiej ludzie usiłowali rozmawiać. Tylko obie niezłomne franciszkanki modliły się, przesuwając paciorki różańca. Za oknami z wolna szarzało.

— Czy może ktoś z państwa ma jakiś silny środek przeciwbólo-

7 2

wy? — pytałam przesuwając się wzdłuż rzędów foteli. Wzruszali ramionami. Albo udawali, że śpią.

Pani Teresa musiała przeżywać katusze. Lucyna siedziała obok zapłakana, trzymając głowę chorej na swoich kolanach. Coś do niej mówiła cichutko. O czymś przekonywała.

Zdziwiłam się, gdy nagle za sobą ujrzałam Roberta. Po raz pierwszy nie miał na uszach walkmana, a w dłoni zamiast kolejnej puszki coca-coli trzymał małą torebkę z białym proszkiem i równie białą pastylką.

— To pomoże — powiedział dziwnym basem.

Spojrzałam odruchowo na jego dzinsy. O dziwo, rozporek miał zapięty.

— Co to jest? — Chyba się potężnie wygłupiłam, bo aż wytrzeszczył oczy.

— Nie wiesz? W papierku kokaina. Pastylka to ecstasy.

Zamrugłam powiekami. Każda nastolatka wie, co to prochy. Ale tak się złożyło, że ja nigdy nie brałam. Nie dlatego, że nie było. Były. Zawsze w szkole znalazł się jakiś koleś-dealer. Nie brałam z przekory, która tkwiła jak gwóźdź w ranie. Wszyscy w rodzinie byli tacy. Skoro pół klasy brało kompot — ja nie! Na złość. Komu? Tym, którzy uważali, że trzeba trzymać fason. Jeden za trzech, trzech za jednego. Kupa dumnych muszkieterów. Ale ecstasy nie znałam. Nie mój czas.

— Zupełnie nie wiem — wybąkałam — ona jest ciężko chora. Potrzęsnał włosami. Znów kosmyk spadł mu na czoło.

— Bądź normalna — wybuczał — nie ma nic lepszego. To zabija najgorszy ból. I sprawia, że człowiek odlatuje...

— Żeby się ciupciać publicznie! — Nie wiem, dlaczego to powiedziałam. Ale się nie obraził. Był wodoszczelny. Jak szwajcarski zegarek.

— To też. Chcę to robić. Lubię. Ale po ecstasy się cudownie odlatuje. Bierz. Mam tylko tę jedną pastylkę. Resztę zużyłem.

Chwyciłam jego dłoń. Dojrzałam ładne palce i bliznę na przegubie. Może też miał do szkoły pod górkę, a ja tu wybrzydzałam.

— Dzięki — powiedziałam. — To ładnie z twojej strony. Wzruszył ramionami. Ale w oczach miał smutek. Teraz to zobaczyłam dokładnie.

7 3

— To się popija? — musiałam mu się wydać kompletną kre-tynką, bo pokręcił głową w niemym zdumieniu. Wrócił na swoje miejsce obok poturbowanej, zgwałconej Ali. A ja zostałam z narkotykiem. Przez moment, ułamek sekundy pomyślałam, że go

połknę. Też chciałabym poszybować. Ulecieć wraz ze stojącym boeingiem. Oddalić się choć na godzinę od smrodu, duchoty i ludzkich przywar. Być wolna.

— Gdzie mazowszanka? — spytałam nieco chrapliwie. — Pani Teresa musi to połknąć. Lucyna przestała kołysać przyjaciółką. Spojrzała na mnie z taką nadzieją, jakbym była wysłanniczką niebios.

Teresa połknęła pigułkę, popijając wodą. Pewnie połknęłyby każdą truciznę, byle tylko uwolnić się od straszliwych cierpień. Była w ten wigilijny poranek bliżej Boga niż ktokolwiek z nas. Nie wyłączając mamroczących modlitwy sióstr. Wróciłam na swoje miejsce.

— Stajesz się niezbędną osobą w tym samolocie! — powiedziała pani Marianna z ironią w głosie. Ustawiła oparcie fotela w pozycji półleżącej. Chyba chciała zasnąć.

— Przepraszam, że się tak wciąż kręcę. Ale siedzenie lxxv. ruchu sprawia mi wielki kłopot. W domu też nie potrafię usiedzieć. Ani w kinie.

— Bo jesteś produktem swoich czasów. Dyskoteka, światła, wideoklipy... Kiedy przeczytałaś jakąś książkę?

Poczułam się dotknięta. Bo akurat należałam do gurma 1 >yć może nielicznych, ale wiernych odwiedzaczek biblioteki.

— Zdziwi się pani. Ale przeczytałam całego ilcimirlia Bólla. Wszystko, co wyszło po polsku.

Zamknęła oczy.

— I tak świat diabli wezmą. Z książkami lub bez. Wezmą. Bo muszą.

Może i trwałyby dłużej prawie komfortowa sytuacja — lein>ryści odizolowani i ludzie w samolocie zachowujący względny spokój, gdyby nie hałasy dochodzące spod podłogi.

— Tam ktoś biega?

7 4

— Co się dzieje?

— Kradną nasze bagaże! — krzyknęła histerycznie Kołakowa. Wstałam, bo nie mogłam usiedzieć.

— Kto miałby wynosić bagaże? I którądy?

Zdzisio Kondek rzucił się na kolana, prawie przykładając ucho do brudnej wykładziny podłogowej.

— I co? — spytała jego żona.

— Ktoś tam coś przewraca. Hałasuje.

Zastanowiłam się. Może nadszedł już czas, by to sprawdzić? Fascynowała mnie sama myśl zejścia w „podziemie” maszyny. Wie-dziaiam, kto tam jest. Ale ani kapitan Pawłowski, ani związany niczym baleron Szczur nie mogli w żaden żywy sposób tak głośno tupać. Może ożył ten, jak mi się zdawało, zabity marines w zielonym kombinezonie?

— Kto idzie ze mną? — moje pytanie wywołało konsternację.

— Na dół? Jak?

— Jest zejście. Koło toalety. Przecież tamtędy wyniesiono kapitana!

Zapomnieliście państwo?

Nie było chętnych. Nawet Zdzisio wrócił na swój fotel.

— Ja pójdę! — odezwał się niski łysawy facet, którego dotąd, mówiąc szczerze, nawet nie zauważyłam. Nie włączał się do rozmów, nie komentował faktów. — Jestem Korzycki. Elektromechanik. Moja żona z dzieckiem wyszła w pierwszej grupie.

— Po co ich denerwować? — sprzeciwił się Kotlarski. Jego żona znów piła kolejną walerianę.

— Siedzą w kabinie pilotów. Rozmawiają z ludźmi z zewnątrz. Są zajęci. Nie zauważają!

— To dlaczego nie otwieramy drzwi i nie uciekamy?

— Bo założyli granat na drzwiach. Albo jakiś inny ładunek — odpowiedziała pani z pierwszego rzędu. — Przy otwarciu wszystko wyleci w powietrze!

— To co, idziemy? — miałam już dość jałowej gadaniny.

— A jak pomyślą, żeście zwiali? — Kaja kurczowo trzymała milczącego ojca za rękę. Z powodzeniem przejęła rolę własnej matki.

— Niby które? — Łysy obciągał kusą marynareczkę. Miał na nogach stare, zniszczone adidasy. Wyglądał na człowieka, który przez

7 5

parę lat ścibolił zaskórniaki, by je wydać na luksusowy pobyt nad ciepłym morzem.

— Jest taka możliwość — odezwał się pan Komornicki. — Widziałem reklamówkę o boeingach. Można się do nich dostać... lub wydostać w zależności od potrzeby.

— Nie mów głupstw, Karolu. — Pani Irena wycierała twarz chusteczką nasączoną olejkiem kamforowym. — W reklamie wszystko jest możliwe. W rzeczywistości nie.

— Ależ, Irenko, wiem, co mówię. Jest takie urządzenie, które wciąga podwozie do środka samolotu...

— Co wciąga?

— Koła. Razem z podwoziem. Kiedy samolot nabiera odpowiedniej wysokości, wciąga się do środka to... no, to wszystko, co wystaje!

Łysy był sceptyczny.

— Ma pan rację. Ale guzik do tego urządzenia jest u kapitana na tablicy rozdzielczej. A my przecież stoimy teraz na kołach.

Niepoprawny Komornicki zapalał się. W jego wizji wyskakiwaliśmy niczym pestki mistrza Rambo, wypływane bliżej nie znaną szczeliną.

— Żeby się o tym przekonać, należy tam zejść — powiedziała stanowczym głosem. I nie dodałam głośno, że przecież zielony marines też stamtąd wyląził.

Tym razem nikt nie oponował. Może uwierzyli naszym zapewnieniom, że wrócimy.

Łysy popchnął mnie lekko. Zauważyłam na jego palcu duży sygnet. Chyba srebrny.

Nagle mój umysł sparaliżowała myśl, a jeśli to właśnie jest King? Człowiek szukany przez wszystkie wywiady świata? I przez naszych porywaczy. A teraz on, szef konkurencji, stara się uciec. A ja będę jego jedyni! zakładniczką! Strach zjeżył mi włosy. I tak dość zaniedbane.

— Niech się pani ruszy, Ewo!

Co miałam zrobić? Ruszyłam się. Na szczęście- w kuchence nie było Kasi. Zajrzałam za kotarę i zobaczyłam jej nogi oparu- o poręcz. Odpoczywała spokojnie, jakby się nic nic- działo. Jola, na odmianę, wyrzucała z czarnej służbowej torby cał; inasc tabletek i pigulek.

7 6

— Słuchaj — szepnęłam. — Ja i ten pan chcemy zejść na dół. Tam ktoś łązi.

Hałasuje w okolicy ogona.

Zatrzymała się w pół gestu. Nadsluchiwała.

— Rzeczywiście. Poczekajcie, zjeżdż z wami. Muszę tylko zabrać lekarstwa dla kapitana Pawłowskiego. I latarkę.

Nie było wcale łatwo podnieść klapę. Służyło temu pewne urządzenie. Dobrze, że Jola je знаła. Schodziła pierwsza po metalowych szczebelkach. Jak po drabince.

Jej jasna głowa zniknęła, rozplywała się gdzieś w gęstych ciemnościach. Poruszała się cicho, bez pantofli. W samych rajstopach. Spojrzałam na własne nogi. Na

szczęście miałam wygodne płaskie buty. Adidasy Łysego też były w porządku. Zajrzałam w głąb dziury. Na dnie pełgało słabe światełko.

— Możemy schodzić? — zaszemrałam. Ale nie usłyszałam odpowiedzi.

— Co mówi? — denerwował się Korzycki, przestępując z nogi na nogę. Jak na szefa konkurencyjnego gangu był stanowczo zbyt nerwowy.

— Nic nie mówi. Uwaga, złążę.

Nie miałam latarki. Pod sobą widziałam niewyraźnie szczelki drabinki. Im niżej, tym większy panował zaduch. W dawno nie wymienianym powietrzu można było powiesić siekiere. Macałam stopą, nie wyczuwając niczego. Noga tkwiła w pustce. Bałam się zeskoczyć tak po prostu. Nie znałam głębokości. Na szczęście błysnęła latarka.

— Skacz. Nie bój się.

Zsunęłam się raczej, zaczepiając klamrą paska o ostatni szczel. W końcu wylądowałam na jakiejś miękkiej, potężnej torbie. Za mną przewijał się Łysy. Przez moment miałam nad głową jego olbrzymie sportowe buty. Mógł mnie zdeptać niczym pluskwę.

— Niech pan zaczeka! — syknęłam. — I proszę opuścić klapę. Da pan radę?

Nie odpowiedział, ale widziałam, że się zмага. Wreszcie jasny kwadrat nad naszymi głowami zniknął. Świat pograżył się w mroku. Poczulałam dreszcz na plecach. Być może tak właśnie czuł się Stworzyciel, zanim wyczarował słońce i gwiazdy. Ale on przynajmniej był sam. I nikt nie czyhał z kałasznikowem. Za rogiem.

77

Poczulałam dłoń Joli.

— Idziemy. Wiem już, gdzie oni leżą.

— Jacy: oni? — zaszemrał Korzycki sapiąc. Chyba w ogóle nie zdawał sobie sprawy z tego, jakie wydaje dźwięki.

— Ranny kapitan. Cicho!

Tuż za stosem bagaży, to były prawie góry, Himalaje, zobaczyłam kawałek wolnej przestrzeni i jakieś urządzenia z metalowych rur.

— Uwaga na głowy!

— Cholera! — stęknął Łysy, chwytając się za czoło. — Nie mogliście tego powiedzieć wcześniej?

Kapitan pólleżał, oparty o zieloną brezentową torbę. Miał zamknięte oczy. Ale jego bandaż z zaskorupiałą plamą wskazywał, że rana przestała już krwawić.

— Leszek, to ja, Jola.

Otworzył oczy i zaraz znów je zamknął. Raziło go ostre światło.

— Zabierz latarkę!

Jola, zdenerwowana, zachowywała się, jakby zapomniała nagle wszystkich nauk pobieranych na kursach pierwszej pomocy, którymi faszeryją umysł stewardes, zanim je wstawią na dobre i złe do puszek z sardynkami.

Pawłowski przyglądał się ze zdziwieniem trzem pochylonym nad sobą twarzom.

— Co na górze?

— Jak się czujesz, Leszek? — Jola nieporadnie wysypywała na dłoń pastylki. Z kieszeni wyjęła puszkę coli. Strzeliło wieczko. Płyn lał się wprost w spragnione usta. Kiedy miał dość, odsunął głowę.

— Już mi lepiej. Tylko związane dłonie. Już ich nie czuję.

— Mam scyzoryk. Spróbuję.

— Daj na chwilę latarkę — przerwałam. — Musimy natychmiast spenetrować pomieszczenie. Ktoś tu łaził jeszcze przed dziesięcioma minutami. Zielonego pan

widział?

Kapitan z nadzieją słuchał odgłosów piłowania. Scyzoryk Joli niestety nie był wystarczająco osty.

— Pytasz o tego... który przedostał się z zewnątrz? Sądzę, że umarł z ran. Leży dalej. Zawlekli go w kierunku podwozia. Ale

7 8

uważajcie, bo z rozmów wynikało, że założyli jakieś ładunki wybuchowe.

— Tam, gdzie koła samolotu?

Kiwnął głową. Łysy pociągnął mnie za rękę.

— Ten zabity komandos powinien mieć broń. Na pewno bardzo ostry nóż. Wszyscy je mają. Należą do wyposażenia.

Puknęłam się w czoło. Jasne. Jak w ogóle mogłam o tym nie pomyśleć. Każdy członek grupy antyterrorystycznej ma po kieszeniach różne takie rzeczy.

Jola piłowała w pocie czoła. I chyba nie potrzebowała latarki na najbliższe dziesięć minut.

— Idziemy.

Kapitan poruszył się. Widać najbardziej doskwierała mu niewygodna pozycja.

— Nie kręć się. Mogę cię skaleczyć. Jak im oddam latarkę, nic nie będę widziała,

— Nie świruj! — zezłościłam się. — Przecinasz w miejscu bezpiecznym. Potrzeba ci wytrwałości, nie światła.

— Uważajcie — dorzucił kapitan. — Jest tu jeden bardzo groźny typ. Na szczęście unieruchomiony. Tak sądzą. Przedtem darł się jak potępieniec, aż go zakneblowali. Koleś porywaczy.

— Wiem. Szczur. Nazywają go Szczurem. Puścił serię w sufit samolotu. Idiota. Z latarką w dłoni posuwałam się wolno naprzód. Brzuch potężnej maszyny był zawalony naszym dobytkiem. Czego też ludzie nie wiozą ze sobą nad słoneczne plaże pod palmy! Obraz szumiącego oceanu i chłodna bryza rozpryskująca słonawe krople, miły łagodny wiatr targający postrzępione, zielone czuby stanął mi przed oczami. Co za bezsens! Po jaką cholereę wymyśliłam te Kanary? Co mi strzeliło do głowy, by porzucić rodzinę, choinkę, pierogi z kapustą i makowiec. Oficjalna wersja, która rozśmieszyła tatę do łez, brzmiała: nie chcę być na Wigilii, bo nie znoszę kompotu z suszonych świństw! Mama też zacisnęła drgające wargi. O mojej awersji do suszu, śledzia, nóżek w galarecie i flaków było w rodzinie głośno. Od dzieciństwa. Kiedy nie chciałam zjeść ozorka, ojciec powiedział: jeśli podasz choć jeden racjonalny powód, pozwolę, by twój talerz odje-

7 9

chał do kuchni pełen. Miałam wtedy sześć lat. Połykając łzy odparłam: nie będę jeść tego, czym krowa w nosie dłubie! Ojciec najpierw osłupiał. A potem, krztusząc się, wybiegł do łazienki. Ozorki raz na zawsze zniknęły z naszego stołu.

— Co jest z tobą? — moje wspomnienia przerwał Łysy. — Boisz się?

— A pan? — wkurzał mnie. Był tym cholernym Kingiem czy nie? Ruszyłam. Pomiędzy czarną torbą z uszami a modną walizką

z imitacji skóry leżało rozciągnięte ciało Zielonego. Twarzą do ziemi.

— Obszukaj mu kieszenie! — zażądał Łysy. Odwróciłam się gwałtownie.

— Sam go obszukuj! Nie znam się na męskich strojach.

O dziwo, nie zareagował. Przykucnął i w wąłym świetle latarki, którą trzymałam tak, by nie widzieć głowy w kominiarce, sprawnie obmacywał kieszenie denata.

— Coś ma... cicho! Zgaś!

Zgasiałam posłusznie. Na wojnie, jak na wojnie. Najpierw się wykonuje rozkaz, a

potem zastanawia. Miał rację. Coś szeleściło w pobliżu. Brzmiało to tak, jakby się przewalało jakieś potężne zwierzę. Potem zaczęło walić kopytami w blaszane dno naszej puszki. Aż echo szło pod sufit.

— To właśnie słyszeliśmy na górze! — odszepnęłam wprost do jego ucha. Miałam nadzieję, że to było ucho. Oczy bardzo powoli przyzwyczajały się do ciemności.

— Świeć.

Puściłam dłuższy promień. Latarka miała regulację. Łysy całkiem sprawnie załatwiał się z butami nieboszczyka. Były wysokie, zapinane na mnóstwo rzepów. Coś błysnęło.

— Nóż? — spytałam z nadzieją.

— A jakże. Przepiękny. — Z zachwytem oglądał wąską, lśniącą klingę ukrytą w skórzanej pochewce. — Najwyższej jakości. Trochę mały. Co to?

— Co? — nachyliłam się nad ciałem. Niezbyt blisko. Nigdy w życiu nie widziałam tyłu nieboszczyków, co w ciągu ostatniej doby. W mojej rodzinie wszyscy szczęśliwie żyli.

— Latarka, sprytna, składana. Widzisz? — puścił potężny strumień światła. W promieniu dwóch metrów zrobiło się jasno niczym w biały dzień.

— Ma coś jeszcze? — widziałam, jak walczy z wąską nogawką spodni. Martwa noga opasana była powyżej kostki czymś, co wyglądało jak czarna podwiązka.

— Ma. Śliczny wojskowy pistolecik. Odskokczyłam.

— Niech pan nie dotyka. Może wystrzelić.

Łysy obracał w dłoni znalezione cacko. Ani myślał porzucać zdobyczy. Odwrócił głowę. W jego oczach zobaczyłam marzenie o czyjejś śmierci.

— Znam się na tym, panienko. To Ziggauer P 220. Dziewięć milimetrów. Teraz nie oddam im mojej skóry!

Wiedziałałam, że mówi poważnie. Znał rodzaj broni. Może nią handlował? King? Moje przekonanie utwierdzało się z każdą sekundą.

— Ale...

— Strzelałam do ludzi, kiedy ty nosiłaś koszulę w zębach. Masz, nóż będzie twój. Tylko uważaj. Ostry!

Wzięłam go do ręki. Potem z desperacją wsunęłam za pasek spodni. Czulałam się prawie jak Schwarzenegger.

— Co robimy?

Nie odpowiedział. Ruszył przed siebie. Zdobyczna latarka dawała o wiele więcej światła. Tuż za walizami z zielonej skóry siedział nasz czwarty do brydża. Miał dłonie skrępowane taką samą taśmą co kapitan. Ale wolne nogi, którymi bębnił w jakieś żelastwo. Nad kneblem, mocno wciśniętym do gardła, widać było oszalałe z wściekłości oczy. Łysy zatrzymał się. Ja za nim.

— No? — powiedział wyciągając dłoń z pistoletem. — Przyjrzyj się temu maleństwu. Widzisz wylot lufy? Boisz się?

— Panie Korzycki! — szarpnęłam go za ramię. Odwrócił się błyskawicznie, oślepiając mnie promieniem z latarki.

— Cicho bądź, durna! Zapomniałaś, jak ten gnojek nas straszył? Puścił serię z tego swojego uzi. Poszła w sufit. Ale równie dobrze mogła trafić nas!

Włosy zjeżyły mi się na głowie. Czulałam, jak oczy wylażą mi z orbit. Stach sparaliżował ruchy. — King! Jasny gwint! Akurat z nim

6 — Zatrzymajcie świat...

8 1

i

musiałam zejść do Hadesu! Teraz nie było już odwrotu. Spanikowałam. Tak naprawdę

pierwszy raz od chwili, gdy zakrwawiona noga przejechała pomiędzy fotelami.
— Wracam do kapitana — wychrypiałam trzęsącymi się wargami. — Mój nóż pozwoli na szybsze uwolnienie go z więzów.

— A wracaj! — światło latarki ponownie omiotło oszalałe ze strachu źrenice terrorysty. — Tylko nie wyląćcie jeszcze na górę. Dopóki nie załatwię tu paru spraw.

Nie czekałam dłużej. Potykając się i przewracając, parłam do miejsca, w którym pozostawiłam Jolę. Sapałam niczym miech kowalski ze strachu i złości, że znów los sobie ze mnie zakpił. Dopadłam ich w ciemnościach. W słabym świetle mojej latarki zobaczyłam Jofę całującą wargi Pawłowskiego.

— Jola! Rozciąłś mu więzy? Nie spieszyła się.

— Nie.

— Zrób to teraz. Znaleźliśmy nóż, rewolwer... taki mały, i drugą latarkę. Kapitan miał spieczone usta. Wyglądał źle. Ale więzy puściły. Jola natychmiast rozpoczęła masaż przegubów i palców. Robiła to sprawnie i z wyczuciem.

— Czujesz krążenie?

Przecząco pokręcił głową. Usiłował oprzeć się na łokciach.

— To nic, kapitanie! — próbowałam go pocieszać. — Zbyt długo krew nie przepływała należycie. Zaraz...

Huknął strzał. A może tylko coś spadło.

— Co to? — Pawłowski gwałtownie usiadł.

— Myślę, że nasz przyjaciel King zabił tego tam... — wymruczałam, czując, jak żołądek podchodzi mi do gardła.

— Jaki King? Ten łysiejący facet? — głos kapitana nabierał barw. Westchnęłam głośno.

— Wie pan przecież, że samolot opanowali przedstawiciele dwóch zwalczających się plemion. Tacy Tutsi i Hutu.

— Nie gadaj głupstw! — Jola potrząsała mną niczym gruszą z ulegalkami.

— Zostaw. Niech mówi. To ma sens.

82

— Jezu, jacy Tutsi? Nic nie rozumiem! — przerażona wciąż waliła mnie pięścią w kolano. Chciałam się zamachnąć, ale trafiłam w próżnię.

— Jola! — głos kapitana miał siłę stu decybeli. Albo tylko tak mi się zdawało. —

Ja rozumiem, co ona chce powiedzieć! Wypuściłam powietrze z płuc.

— Chcę wyjaśnić, że ci na górze, jest ich już tylko trzech, bo King właśnie wykonał wyrok na czwartym, to jedna banda handlarzy bronią. Ich przeciwnikiem w interesach jest Łysy. A pomagierką Kasia. Stewardesa.

— Stewardesa? — zdumienie kapitana nie miało granic.

— Tak, Leszku. Sama się do tego przyznała — potwierdziła Jola, wyszukując żółtą tabletkę ze słoiczka. Wsunęła ją mężczyźnie wprost do ust. — Połknij i nie pytaj, co to jest. Ja wiem. Kasia nie chciała mi powiedzieć, który z pasażerów jest tym, no...

— Kingiem — dorzuciłam. — Teraz wiemy. Ale ci na górze, nie. I chyba dobrze będzie, jeśli tak zostanie.

— Nonsens. Znajdą zabitego. Swojego człowieka...

— To prawda. Ale nie wiadomo, kiedy tu zejda.

— Co on tam robi? — zainteresowała się Jola, śledząc daleki promień latarki.

— Nie mam pojęcia. Może rozminowuje wyjście? — dla mnie miny i ładunki wybuchowe były jednym i tym samym paskudztwem. — Trochę się go boję — wyznałam szczerze. — Chyba jednak zobaczę. Bo w końcu trzeba wyjść na górę.

Sunęłam starając się nie świecić w przestrzeń. Chowałam się za kufkami i skrzyniami. Kiedy się tego najmniej spodziewałam, zobaczyłam go. I osłupiałam. Facet najspokojniej przeszukiwał bagaże! Nie dość, że terrorysta, to jeszcze złodziej? — widziałam, jak wyjął z czarnej torby maszynkę do golenia w etui i piękną, nową wiatrówkę. Przyłożył do siebie. Pasowała. Następnie wygrzebał sweter. Ale okazał się damski. Łysy pracował, jakby mu płacono za akord. W kolejnej walizie znalazł koszulę i porządną marynarkę. Przebierał się w nowe ciuchy, zupełnie się nie przejmując, że pasażerowie na górze mogą rozpoznać swoje rzeczy. Widziałam jego nagi, tłustawy brzuch i obrośnięty tors. Zrobiło mi się niedobrze.

83

— Panie Korzycki! — wyszeptałam. — Jest pan tam?

— Jestem. Już idę.

Wygramolił się bardzo z siebie zadowolony. Udawałam, że niczego nie spostrzegłam. Tak było o wiele bezpieczniej. Przecież ten typ przed kilkoma minutami najprawdopodobniej zastrzelił człowieka.

— Co to był za hałas? — spytałam. — Jakby strzał. I Roześmiał się chrapliwie.

— Posłałem faceta do piekła! Należało mu się!

Nie odezwałam się. Moje nieugięte dotąd przekonanie, że śmierć można zadać człowiekowi tylko na wojnie, i to w obronie własnego kraju, przestało chyba obowiązywać. Sytuacja, w jakiej się znalazłam, koiygowała okrutnie filozofię życia. Już nie byłam wcale taka pewna, czy wystarczyłby sąd. I kto, u Boga Ojca, zdążyłby ich postawić przed prawem? Ja?

— Nie wiem, co o tym myśleć — zgodziłam się.

— Nie myśl. Zostaw to dorosłym. Stój!

Jego okrzyk zderzył się z innym. Szedł z góry. Znad otwartej klapy.

— Kto tam jest?

Wołał Rolex. Poznałam głos, który za każdym razem powodował skurcz mojego serca.

— Ukryjmy się! — wyszeptałam. — Tam na lewo, za skrzynie!

Łysemu nie trzeba było dwa razy powtarzać. Błyskawicznie, niczym doskonale wyszkolony cichociemny, przeczłogał się do wskazanego miejsca.

Na górze coś się działo. Usłyszeliśmy metaliczny dźwięk, jaki wydawały szczebelki drabiny. Wiedziałam, że schodzą, by nas zabić. Czulałam suchość w ustach i kroplisty pot na czole. Trzęsłam się przy tym, szczękając zębami.

— Ani drgnij! — wychrypiał mi do ucha.

Staralam się. Naprawdę się starałam. Kiedy daleki blask latarki omiótł nasze schronienie, byłam już tylko bryłą marmuru. Światło przesunęło się wąskim pasmem. Kroki dudniły po blaszanej podłodze, powodując dziwną wibrację w moim mózgu. W pewnym momencie zamarzyłam, żeby już było po wszystkim. Żeby mnie zastrzelił. Nie miałam sił. Ani motywacji do życia. Gdyby oni wiedzieli, jak

84

bardzo się boję: mama, ojciec, Jacuś. W obliczu śmierci widzi się podobno całe swoje dotychczasowe życie. Nieprawda. Niczego nie widziałam. Może tylko tę kolibę w paśmie Granatów. Kiedy nas zaskoczyła burza. Kiedy to było? Zaraz po maturze. Pojechaliśmy całą paczką. Wtedy jeszcze z Markiem. Ogrzewał mi dłonie własnym oddechem. Wzruszał mnie. Ale zniknął tak nagle, jak się pojawił. Nowa miłość? Nowe życie?

Ryk, jaki wydał z siebie Rolex na widok martwego towarzysza, ocuciłby umarłego. Ale nie Szczura.

— Rodan! Rodan! — wrzeszczał na całe gardło.

— Co jest? Czemu się drzesz? — głos Czarnej Maski brzmiał zdecydowanie wrogo.

— Zabili go! Nie żyje!

— Kto?

— Szczur.

Tupot nóg był jedyną odpowiedzią. Czarny łomotał butami po drabince.

— Goran, zostań na górze! Odbezpiecz broń i strzelaj, jeśli tylko któryś z pasażerów się ruszy! — wydawał polecenia facetowi w marynarce koloru marengo, głosem zdecydowanym, ostrym.

Czułam go. Czułam zapach jego spoconego ciała, gdy przepływał czarną przestrzenią tuż obok nas.

— Tutaj! — wołał Rolex. — Tu!

Cisza trwała ułamek sekundy. Potem posypały się przekleństwa, jakich nigdy przedtem nie słyszałam. Nawet na filmie „Psy”.

— Cholera — zasyczał w końcu. — Kto to zrobił?

— Nie wiem. Ładna dziurka w samym środku czoła. Dziewięć milimetrów. Znaczący... kaliber.

Dotknęłam lekko Łysego. Zrozumiał, o co mi chodzi. Obaj terroryści hałasowali, przesuwali bagaże, tupali. Był najwyższy czas, by spróbować przemknąć na górę. Udało się nam bezszmerowo znaleźć w pobliżu kłapy. Jasny kwadrat nad naszymi głowami zachęcał.

Łysy odepchnął mnie, gdy pierwsza postawiłam stopę na dolnym szczeblu. O mało nie upadłam na jakąś kupę żelastwa. Zmęłam przekleństwo między wargami i pozwoliłam mu wejść. Uważnie obserwowałam, co się stanie. Nikt z nas nie wiedział, w którym miejscu

stał facet w marengo. Zwany Goranem. Ale nic się nie stało. Łysy wylazł.

Pomyślałam o czereśni, na którą wspinałam się w czasie wakacji. Było miło. Teraz mniej. Ostrożnie wystawiłam czubek głowy żałując, że nie dysponuję peiyskopem. I natychmiast się skuliłam. Kroki Gorana, bo czyjeż by inne, zbliżały się niebezpiecznie. Jak Łysy wrócił na swoje miejsce, nie wzbudzając podejrzeń? Coś się musiało dziać w okolicy ogona, bo nagle pilnujący pobiegł krzycząc:

— Nie wstawać! Nie ruszać się!

Wzięłam głęboki oddech. Raz kozie śmierć. Pokonałam trzy szczeble w trzy sekundy. Rekord świata. Bo do drabinki zbliżali się, sądząc z odgłosów, także ci z dołu. Jednym rzutem oka przekonałam się, że do kabiny wrócić nie mogę. Zostały trzy miejsca: toaleta, kuchenka i fotele w pierwszej klasie. Za zasłoną.

Wybrałam te ostatnie. Jak się potem okazało, słusznie. Bo w toalecie tkwił już Łysy. Opadłam na zbawienny plusz, mając mętlik w głowie. Co teraz? Przecież Szczur nie zabił się sam. Nikt w to nie uwierzy. Co robi Czarna Maska już bez maski? Jest najinteligentniejszy. Hałas spowodował, że wyjrzałam zza oparcia.

Jasnowłosy przystojniak włókł Jolę. Jej głowa, niczym piłka, latała z lewa na prawo. Mężczyzna bił ją po twarzy, jakby chcąc wyładować na niej całą swą nienawiść. Nie mogłam rzucić się na pomoc. To byłoby ponad moje siły. W pamięci miałam jeszcze ból własnej szczęki. Facet umiał bić. Był fachowcem w każdym calu. I nie miało dla niego znaczenia, czy maltretował kobietę, czy mężczyznę. Rolex przyłączył się do Rodana.

— Kto to zrobił? — pytał wycelowując w nieszczęsną odbezpieczony karabin.

Błyszcząca lufa czekała na pociągnięcie cyngla. Zacisnęłam powieki i zatkałam palcami uszy. Ale strzał nie padł.

— Ona nie ma broni — powiedział Rodan, obmacując płaczącą w głos Jolę.

— Mogła zostawić na dole.

— To King! King zabił — wymamrotała, nie mogąc ścierpieć bólu i upokorzenia. Mężczyźni zastygli w bezruchu.

— Wiesz, jak wygląda... King? — spytał z niedowierzaniem przystojniak, unosząc dziewczynę w górę.

86

— Ona nie wie! — krzyknęła Kasia, stając w drzwiach kuchni.

— Wiem!

— To pokaż! No? Pokaż tę kanalię, co zastrzeliła naszego człowieka. — Wlekli ją wzdłuż samolotu, przystając przy każdym z rzędów.

Oceńłam sytuację. Teraz! Przemknęłam za ich plecami do najbliższego wolnego fotela. Siedzenie za kotarą było podejrzané.

— Ten? — pytał Rodan, wykręcając Joli rękę. Przecząco pokręciła głową.

— Nie! Łysy w granatowej marynarce.

Spojrzałam na Kasię. Wyglądała, jakby miała lada moment zemdleć. Wtedy jeszcze nie wiedziałam, gdzie schował się King. Ale, ku mojemu zdumieniu, czarnowłosa silnym szarpnięciem uchyliła drzwi toalety, nad którą cały czas palił się napis: zajęte.

— Tu jest! — krzyknęła.

Cała trójka oprawców odwróciła się gwałtownie. Puszczona nagle Jola wpadła w ramiona pani Borkowskiej. Trzeba przyznać pielęgniarce, że wiedziała, jak się zachować. Objęła dziewczynę ramionami gestem tak desperackim, jakby postanawiając, że nie odda zdobyczy, chyba razem z własnym życiem. Ale mężczyźni nie interesowała skatowana Jola. Z odbezpieczoną bronią biegli wzdłuż samolotu.

Bystra Kasia dała szczupaka do pierwszej klasy. Seria z automatu prawie rozerwała drzwi na strzępy. Ludzie wrzeszczeli, płakali. Istne pandemonium. Tylko Robert kołysał w ramionach Alę, nie przestając słuchać muzyki. Patrzyłam w otwór toalety, w której schował się Łysy. Kiedy tam wpadli, rozległ się jeszcze jeden strzał. Z lufy o kalibrze dziewięć milimetrów. I dosięgnął! Gorana tam, gdzie powinien: w sam środek czoła. Terrorysta zwałił się i zastygł bez ruchu u stóp oniemiałego Rolexa.

— Co, do licha! — wymruczałam. — Wydała swego szefa na śmierć? Uciekła za zasłonę... ale dlaczego? Dlaczego go wydała?

Zamieszanie sięgało szczytu. Rodan patrzył to na martwego kolegę, to na trupa w toalecie. Bo Łysy też stracił życie. Jego piękna, nowa, granatowa marynarka ze srebrnymi guzikami zbryzgana była krwią. Z góry do dołu. Jakiś inny uporczywy dźwięk rozlegał się z kabiny pilotów.

— Radio! — krzyknął Rolex. — Wieża kontrolna!

87

— Pilnuj ich — powiedział Rodan dziwnie spokojnym głosem. I zabezpiecz ten zigzauer. Nie wiem, skąd go wziął. — Zniknął za zasłoną.

Teraz dopiero mogłam wrócić na swoje miejsce. Pasażerowie uspokajali się bardzo powoli. Ostatnie wydarzenie na nowo poszarpało im nerwy.

— Gdzie ty byłaś tak długo? — pani Marianna wyglądała źle. Upływające godziny, silny stres i normalne zmęczenie chyba zrobiły swoje. Do tego brak odpoczynku. W najśmielszych snach starsza dama nie przewidywała tak długiej przerwy w locie.

— Wszystko opowiem. Przed chwilą zabili Kinga. Dostał serię z automatu. Ukrywał się w toalecie. I wie pani, kto go wydał?

— No?

— Kasia! Jego towarzyszka! Sama wskazała oprawcom miejsce, w którym siedział ukryty.

— Kasia? — wymruczała starsza pani z namysłem. — Słyszałam wrzaski, strzały, ale nie wiedziałam, że chodzi o tego... no, Kinga. A zatem mają problem z głowy.

— Rzecz w tym, że King zdążył zabić Gorana. Na górze są dwa trupy. I dwa na dole.

Pani Marianna przyjrzała mi się uważnie. Znów miała czerwone plamy na policzkach i brodzie. Jej oczy dziwnie błyszczały.

— Coś ci się te trupy mnożą niczym króliki!

Zezłościłam się. Tak to już jest ze stałymi ludźmi, że za nic nie chcą uwierzyć młodym. Zupełnie jak moja babcia Henryka. Kiedy mówię, żeby nie jadła tyle chałwy, bo to podnosi cholesterol, ona kupuje następne opakowanie. I dalej je. Zżera wszystko naraz, a potem wzywa pogotowie.

— Byłam w bagażowym. Z Jolą i Łysym. Znaczący... Kingiem. Jola ratowała kapitana lekami. Ma gorączkę, ale wyżyje. A ten pierwszy trup to marines. Przedostał się do wnętrza samolotu jakimś znanym sobie przejściem, które teraz jest zaminowane.

— Skąd wiesz, że marines?

— Po zielonym kombinezonie. I kominiarce na twarzy. Łysy znalazł przy nim taki mały rewolwer. I zastrzelił czwartego terrorystę. Tego w szarym garniturze.

Pani Marianna kiwała głową w zadumie.

— To znaczy — zawiesiła głos — pilnuje nas już tylko dwóch?

— Ale i tak nic nie możemy zrobić. Oni wszędzie pozakładali ładunki wybuchowe. Nie ruszymy na nich chmarą. W dodatku z gołymi rękami! No... nie całkiem. Ja mam nóż. Bardzo porządny. Od zielonego nieboszczyka.

Zmarszczyła brwi.

— Nie powinnaś mieć przy sobie żadnych śmiercionośnych przyrządów. Daj mi go. Ty jesteś taka... nieobliczalna, dziecko...

Przechąco pokręciłam głową.

— Nigdy. Za żadne skarby. Widziała pani, jak potraktowali Jolę. Nie mówiąc już o tej nieszczęsnej Ali. O nie! Nikt mnie nie zgwałcił!

Uśmiechnęła się.

— Może i masz rację.

Natychmiast się uspokoiliłam. Nie chciałam wydać się śmieszna. Ale nie pozwolę się nikomu poniżyć. Tak mnie wychowano. I, u Boga Ojca, skorzystam z tego śmiercionośnego ostrza, które czułam za paskiem od spodni, jeśli konieczność obrony własnej mnie do tego zmusi.

Zerknęłam w okno i zdziwiłam się. Było już całkiem jasno. Zegarek wskazywał ósmą trzydzieści. Na sąsiednich pasach startowych wygaszono wszystkie światła. Szary beton pokrywała cieniutka warstwa wody. Czyżby padało? Gdzieś daleko, nie widziałam dokładnie, mając na pierwszym planie skrzydło naszego boeinga, stał jakiś bury pojazd. Chyba opancerzony. Z drugiej strony wóz strażacki. I ani śladu człowieka! Przypomniałam sobie ostatnie słowa kapitana o dwóch tysiącach marines wyspecjalizowanych w odbijaniu zakładników, którzy rzekomo przerwali rutynowe ćwiczenia w pobliżu Sardynii. To gdzie są? Nie umieją przepłynąć wpław? A może uznali, że czas najwyższy na małe co nieco? Śniadanko z kawusią i rogaliki z makiem!

— Boże, jaka jestem głodna! Oni pewnie poszli na pasterkę.

— Kto?

— Ci ameykańscy komandosi, którzy mieli nas uwolnić. Dziś przecież jest Wigilia. Ależ mnie ssie w dołku!

89

Pani Marianna zawsze czymś zaskakiwała. Teraz też. Najspokojniej wyjęła z

czarnej przepastnej torby tabliczkę czekolady.

— Proszę.

Byłabym ją pożarła dwoma kęsami, gdyby nie resztki dobrego wychowania.

Przełamałam tabliczkę na pół.

— Podzielimy się. Potrząsnęła głową.

— Nie jem słodczy. Cukrzyca. Zdziwiłam się.

— To wielkie poświęcenie mieć i nie móc zjeść. Po co ją pani kupiła?

— Dostałam. Nie wypadło nie wziąć.

Umilkłam/czując na podniebieniu boski smak. Za czekoladę mogłam sprzedać duszę diabłu. Jeśli jej nie miałam ze sobą, to wyłącznie z bezdennej głupoty. Ojciec wsunął mi na lotnisku piękne, dwustugramowe opakowanie, zupełnie nie mieszczące się w kieszonkach wąskich, ciasnych dzinsów. Widząc łzawy wzrok Jacusia, oddałam mu ją dyskretnie, żeby tato nie widział. Wydawałam się sobie osobą dorosłą i niezwykle szlachetną. Tak się tym wzruszyłam, że pocałowałam małego w policzek. No, to już był szczyt. Nigdy tego nie robię. Biedny Jacuś był tak wstrząśnięty i czekoladą, i cmoknięciem, że cichutko wymruczał:

— A nie ma tam w środku arszeniku? — I odwróciwszy się plecami, zniknął. Z przerażenia, że znów go pocałuję.

Ciamkałam brunatne kostki, marząc o chwili, gdy już wreszcie wyjdę z tego pudła.

Za zaciśniętymi powiekami ukazały się nigdy nie widziane, w rzeczywistości błękitne fale, palmy i piasek Tenery-fy. Z parominutowej drzemki obudziło mnie szarpnięcie za ramię.

O mały włos nie zerwałam się z dzikim wrzaskiem.

— Przestraszyłam cię, przepraszam... — pani Borkowska miała zafrasowaną minę.

— Co się stało?

— Nie wiem, co zrobić z Jolą. Jęczy i płacze. Ma siniaki na buzi

I rozcięty policzek. Nałożyłam plaster, ale... ona wymaga raczej pomocy psychicznej. Ja jestem stara i pewnie brak mi właściwego podejścia. Nie słucha, co mówię... może ty?

90

Dlaczego zawsze ja? Znów przyjdzie mi zbawiać świat i leczyć chandrę z welonem.

To mama zawsze twierdzi, że są trzy rodzaje chandry: z woalką, welonem i trenem.

Wstałam odwracając się dyskretnie. Goran nie żył, przystojny blondyn konferował z wieżą kontrolną, zaś Zielonej Marynarki nagle przestałam się bać. Może dlatego, że wciąż żuł gumę?

— Dobrze. Idę z panią.

Jola leżała zwinięta na trzech siedzeniach. Jej jasne włosy, splątane i zmatowiałe, opadały na twarz. Podkurczone nogi w podartych rajstopach odsłaniały wąskie i długie uda. Mimo kompletnego nieszczęścia widok obnażonego ciała mógł w dzikusach wywołać niewłaściwe skojarzenia. Mundurki LOT-owskie preferowały minispódniczki. Może to i dobry pomysł reklamowy dla firmy. Ale teraz należało coś z tym zrobić. Brutalnie zepchnęłam jej stopy z siedzenia.

— Pozbieraj się, otrzep z kurzu i zacznij od nowa! — warknęłam.

Nie drgnęła. Łkanie co i rusz wstrząsało jej ciałem. Zmiętym i bezwolnym.

— Sama widzisz — westchnęła pani Stanisława. — Nie wiem, co robić.

— Dać mi grzebień.

Cesałam jej długie włosy wolniutko i ostrożnie. Staralam się nie powodować bólu, a raczej uczucie spokoju. Tak robił mój ojciec, gdy mama walczyła z woalką lub trenem. Ją to zawsze uspokajało.

Jola nagle uniosła głowę. W jej błękitnych oczach pojawiło się zdziwienie.

— Co?

— Nic, nic — powiedziałam. — To tylko ja. I grzebień. Po co wam każą nosić takie... plastikowe fartuszki? Wyglądacie jak przeterminowane parówki.

Cień uśmiechu przemknął przez jej zmaltretowaną, spuchniętą od uderzeń twarz.

— Wszystkie stewardesy... — wymruczała.

— Posłuchaj — starałam się mówić wolno i spokojnie. Grama-

9 1

tycznie i poprawnie. — Musimy się wziąć w garść. Jeszcze nic się nie stało.

Jeszcze twoi pasażerowie żyją. W większości. I kapitan... To był strzał w dziesiątkę. Usiadła obciążając spódniczkę.

— On mnie potrzebuje.

— Wszyscy cię potrzebujemy. I nie ma żadnego znaczenia, która z nas i ile jeszcze razy dostanie po mordzie. Ktoś musi dyskretnie nad tym pudłem panować.

Skinęła głową.

— To ja już pójdę.

Wstała nieco sztywna. Idąc wzdłuż rzędów wyglądała, jakby połknęła kij od szczotki. Ale nie potknęła się ani razu. Odprowadziłam ją wzrokiem, a potem spojrziałam w okno.

— Coś do nas jedzie — oświadczyłam głośno.

Ludzie się zainteresowali. Ostatnie wydarzenia, groźne i tragiczne, mieli już za sobą. To dziwne, ale organizm ludzki szybko się regeneruje. Zarówno fizycznie, jak i psychicznie.

— To nie jest na pewno ani czołg, ani armata — zasmuciła się pani Komornicka.

— Co ty wygadujesz za głupoty! — skarcił ją mąż. Był jeszcze chudszy i bardziej brodaty niż dziewiętnaście godzin temu, gdy wkraczali na pokład maszyny. — Po co mieliby strzelać do samolotu z armaty!

—; Ja już nie wiem co lepsze! — poparła tamtą żona Zdzisia Kondka. Jej urody nie naruszył ząb czasu. Miała tak samo mleczną, świeżą cerę jak wczoraj. — Czy tej maszyny nie można jakoś otworzyć?

— To nie konserwa, droga pani. Wszędzie są ładunki. Zdzisio zbudził się z drzemki i z przyzwyczajenia sięgnął do torby z jedzeniem.

— Gdzie kabanos?

Pani Basia uniosła w górę oczy.

— Dawno zjadłeś. Są tylko puszcзки z pasztetem. Oblizalam usta. Mimo żołądka wypchanego czekoladą dałabym wiele za taki pasztecik.

— Czym otworzymy? Klucz od konserw jest w dużym bagażu! — niezadowolone Zdzisia rosło z minuty na minutę.

92

I

— To coś podejźdza! — wykrzyknęła pani Kotlarska, siedząca najbliżej drzwi.

Z megafonu rozległ się niski męski głos. W niczym nie przypominał głosu kapitana, ale niewątpliwie pochodził z kabiny pilotów.

— Proszę wszystkich, by usiedli w fotelach i nie ruszyli się aż do zakończenia operacji. Uzgodniłem z lotniskiem, że pasażerowie dostaną posiłek. Nikt obcy do samolotu nawet się nie zbliży. Pojemniki zostaną przejęte przez nasz personel.

Proszę nie podchodzić do drzwi. Tylko my możemy rozbroić ładunki. Ostrzegam. Jakby na potwierdzenie gróźb Rolex stanął w rozkroku niczym gotowy do działań John Rambo. Jego palec dotykał spustu. Nikt nie miał złudzeń, że w razie ataku

pociągnie. Zostało ich tylko dwóch. Mieli coraz mniej szans i coraz więcej determinacji.

Rodan, zasłaniając się Kasią, stanął na wprost drzwi, które automatycznie przejechały z lewa na prawo. Przez chwilę nic się nie działo. Do środka docierały jedynie stłumione odległością głosy.

— Mówią po angielsku! — podała głuchym telefonem Kołako-wa. — Albo i nie. Sama nie wiem!

Duże wojskowe termosy w metalowej obudowie zaczęły się unosić nad plastikową, żółtą rynną. Widać było ramię podnośnika. Włosy Kasi rozwiewał wiatr.

— Rolex, weź dwie kobiety. Sami nie damy rady.

— Nie lepiej mężczyzn?

— Powiedziałem, kobiety!

Rolex toczył wzrokiem po bladych twarzach pasażerek.

— Zakonnice. Już!

Siostry franciszkanki wtuliły się mocniej w oparcia. Ze znieruchomiałych palców zwisały różańce.

— Niech siostry idą! — zapiszczała Basia Kondkowa, nie mogąc znieść ciszy.

— Proszę się nie bać, siostró Brygido! — Genowefa wstała, wygładzając fałdy habitu. — Bóg nad nami czuwa. I Jęgo Syn, który się dziś narodzi.

Kiedy przeszły obok mnie szumiąc spódnicami, przez mózg przebiegła mi idiotyczna myśl. A jeśli nie są zakonnice? Może mają za zadanie pomagać Kingowi? Po co lecą na Wyspy Kanaryjskie? Teraz,

93

gdy King nie żyje... Nonsens. Wyraźnie szwankował mi rozsądek. Prawdopodobnie naoglądałam się ostatnio filmów grozy. Od czasu gdy w domu zainstalowano kablówkę prześcigałam się z Jacusiem w przierzucaniu z kanału na kanał. On szukał Królika Bugsa, a ja Agent 007. Na jedno wychodzi. Królik był ze sto razy rozplaszczany, topiony, wdeptywany, dziurawiony i wieszany. Tak samo jak mój umięśniony idol. I za każdym razem otrzepywali się z kurzu, żeby działać dalej. Biedny Królik! Biedny Jacuś!

Siostra Genowefa okazała się demonem organizacji. Z zakasanyimi rękawami dyrygowała Jolą i Brygidą. Nie minęło piętnaście minut i trzy ogromne kotły stanęły w przejściu.

Rodan wykazał się niezwykłym opanowaniem. Zasłonięty Kasią, która stanowiła dbskonafy cel dla każdego strzelca wyborowego, trzymał nieruchomy palec na cynglu. Zawodowiec w każdym calu. Może kształcił się na którymś z naszych poligonów wojskowych? Albo należał do elity byłych służb specjalnych? Nie, zbyt młody.

Drzwi znów się zamknęły. Zostaliśmy sami. Jeśli, naturalnie, nie liczyć tych pojemników. Z zupą? Wojskową grochówką?

Rodan i Rolex, dwaj panowie „R”, wyraźnie odetchnęli z ulgą.

— Każdy dostanie plastikową miseczkę — oznajmiła siostra Genowefa. — Nikt nie pozostanie głodny.

— A co z wolnością? — jęknęła Kołakowa. — Kiedy nas wy-puczcza?

Pierwszy raz ktoś ośmielił się zadać tak podstawowe pytanie. I pierwszy raz, od dziesiętnastu godzin, udzielono na nie odpowiedzi.

— Jak tylko przywiozą pieniądze. I zagwarantują nam nietykalność. Żądamy tak niewiele: trzech milionów dolarów. I samolotu. Rodan, już odprężony, mówił ciepłym, ludzkim głosem. Przechadzał się pomiędzy fotelami. Ale jego dłoń w czarnej, skórzanej rękawiczce nieustannie obejmowała rękojeść broni. Zatrzymał

się koło mnie.

— Dlaczego nie siedzisz na swoim miejscu? — Spojrzałam w górę. Miał szare, smutne oczy i kurze łapki. Jego lewa dłoń uniosła Się niebezpiecznie.

Przestraszyłam się. Pamiętałam uderzenie w szczękę. I los, który spotkał Alę. Ale tego, co zrobił, nie spodziewałam się w najbzdurniejszych snach. Brutalny bandyta, nie waha-

94

jacy się zastrzelić niewinnego człowieka... pogłaskał mnie po głowie. Nawinał sobie na palec pasmo moich włosów. Myślałam, że pociągnie, by sprawić mi ból. Ale on pochylił się i powąchał. — Używasz szamponu lipowego? — wymruczał. Nie odpowiedziałam. Bałam się drgnąć. Wszyscy ludzie wpatrzeni byli w tę dłoń delikatnie muskającą cienką przędzę. Z westchnieniem odwrócił twarz. I poszedł dalej.

Czułam, że zaraz zemdleję. A nigdy przedtem mi się to nie zdarzyło. Nawet wtedy, gdy wraz z tatą odwoziliśmy mamę na porodówkę. Przed przyjściem na świat Jacusia. Ona była bohaterska. Błada i cierpiąca. A ja czułam, że nogi stają się galaretowate. Teraz też nie wstałabym za skarby świata.

— Ty mu się podobasz — stwierdziła szeptem pani Borkowska. — Nieprawdopodobne, ale tak jest!

Potrząsnęłam włosami. Wracała mi równowaga. I rozsądek. Odwróciłam głowę.

— Co pani mówi! Kilka godzin temu rąbnął mnie w zęby!

Ale kobieta wiedziała swoje. Szeptła mi do ucha, przechylona między dzielącymi nas oparciami:

— Wierz mi, wiele w życiu widziałam różnych czubków. W szpitalu i nie tylko. Opiekowałam się kiedyś czterokrotnym mordercą po wylewie. Miał takie jasne, czyste oczy. Jak ten, przed chwilą... I tyle było w jego wzroku uczucia... całe morze miłości.

— Co się z nim stało?

Pani Stanisława zaśmiała się cichutko.

— A co miało być? Umarł szczęśliwie. Na moich rękach. Inaczej musiałby wrócić za kratki. Na dwadzieścia pięć lat!

Jola najwyraźniej się pozbierała. Razem z Kasią roznosiły białe plastikowe miski napelnione czymś brązowym. Każdy dostawał dodatkowo sporą bułkę wyglądającą jak nadmuchana piłka. Obie zakonnice stały przy termosach, starając się rozlewać w miarę ucziwie.

— Co to jest? — spytał Zdzisio Kondek po pierwszym łyku.

— Chyba zupa. Coś tu pływa... Jezu! Oko? — Kotlarska o mały włos nie wychłapała jedzenia na tabaczkową marynarkę męża.

— Żadne oko. To fasola!

95

— Ale to... błyszczący!

— Stefcu, nie opowiadaj głupstw. Czuję kapustę, ziemniaki i coś jeszcze...

— Jarzyny — dorzuciła Kaja. — Całe mnóstwo jarzyn. Tatku, czy chcesz soli? Chciał. Dziewczyna doskonale wiedziała, co i gdzie mieści się w pozostawionym przez matkę bagażu. Wyglądało, że ojciec całkowicie zaakceptował córkę. I jej pełną oddania opiekuńczość. Ani słowem nie wspominali Doroty. Jakby nagle przestała istnieć.

Zupa nie wszystkim smakowała. Nie chciała jej Teresa, której już, szczęśliwie, nic nie bolało. Siedziała prosto, miała przytomne, błyszczące oczy i pełen ciepła uśmiech. Gładziła dłoń siedzącej obok Lucyny. Obie były pełne spokoju.

Jakby mężczyzna o imieniu Bronisław, po którym została na fotelu krwawa plama, w ogóle nie istniał. Wyglądały na papużki-nierozłączki. Tej samej płci. Pogodzone z losem w klatce.

Nie jedli także Ala i Robert. Obydwoje zapadli w głęboki sen. Chłopiec z wyciszonym walkmanem na uszach. Nikt nie chciał ich budzić. Za to Kołakowa, Zdzisio i czteroosobowa rodzina z trzeciego rzędu domagali się repety.

— Można dostać jeszcze? — matka dwóch dorosłych córek ze śladami ospy na twarzach odezwała się głośno chyba po raz pierwszy. Przypomniałam sobie jak przez mgłę, że wszystkie trzy strasznie śmierdziały. Wtedy, gdy sprawdzałam, czy nie mają broni. Chyba rzadko zmieniały bieliznę. Lub cierpiały na jakąś chorobę. Ojciec dziewczyn do złudzenia przypominał jednego z dwóch amerykańskich komików. Ze starych, biało-czarnych filmów. Tylko który to był? Flip czy Flap? Nie pamiętam. W każdym razie chodzi o tego chudego.

Siostra Genowefa zajrzała do termosów.

— Można dostać dokładkę. Jola wzięła cztery puste miski.

— Ja nie wiem — zastanowiła się głośno pani Jankowska. Ta od dwóch mężów. Można rzec, rozwiedziona z przyczyn politycznych. — Czy w tej zupie jest mięso?

— A w czym to pani przeszkadza? — zdziwił się Zdzisio.

96

— No... post. Przecież. Wigilia...

Wszyscy zamilkli, i przestali skrobać plastikowymi łyżkami o puste dno.

— Teraz sobie pani przypomniała? — pielęgniarka nie umiała ukiąć zawodu.

— Tak. Zanim wezmę dokładkę.

Byłoby śmiesznie, gdyby nie było tak tragicznie. Okazało się, że spór zapoczątkowany jakimś niejasnym kawałkiem fasoli czy też soi podzielił dokładnie boeingową społeczność. I w efekcie prawie doprowadził do rękoczynów.

— Trzeba jeść, co dają — zawyrokował pan Kotlarski.

— A jeśli ktoś jest wierzącym katolikiem? — nie ustępowała Jankowska. — I chce pościć?

Siostra Brygida przerwała wyskrobywanie termosu.

— Kościół daje dyspensę, gdy człowiek znajduje się w niebezpieczeństwie.

— A potem ksiądz może nie dać rozgrzeszenia! — włączyła się Kołakowa.

— To niech się pani nie spowiada! — Zdzisio też chciał repety.

— Co pan mówi jak Żyd? A idźże, człowieku, do tej swojej... jak jej tam... synagogi!

Zdzisio zbladł jak ściana. Wstał i drżącym ze zdenerwowania głosem wyjaśniał:

— Nikt mi tu nie będzie mówił, co mam robić! Żadnym Żydem nie jestem. Ale... to oni są wszystkiemu winni!

— Opanuj się, Zdzisiu — szeptała żona, pociągając go za ramię.

— Puść, kobieto! Mnie tu ubliżają!

— Nikt panu nie ubliża — starała się łagodzić Borkowska. — Ta pani gada głupstwa...

— Ja? — wrzasnęła Kołakowa, szarpiąc kokardę bluzki. — A kto chce całą Polskę sprzedać? Kto obsiadł banki, położył łapę na największych przedsiębiorstwach?

Kto nami rządzi? Oni!

Pan Komornicki zaklaskał w dłonie.

— A jakże! Racja. Moją fabrykę Żyd chciał kupić. Taki... Holender. Ale się wywinąłem spod łopaty. W ostatniej chwili dali kredyt.

7 — Zatrzymajcie świat...

97

— Kto? Bank? Przecież to też Żydzi! — Kołakowa z trudem wyłaziła z fotela pod oknem. Stała, niczym Rolex, na rozstawionych nogach, zaciętrzewiona, bezlitosna.

— Kto ich nie chce z naszej Polski wyrzucić, jest... jest... — zachłysnęła się — jest zdrajcą!

Siostra Genowefa spokojnie wycierała mokre dłonie jedną ze ścierek Joli.

— Ludzie — powiedziała unosząc ręce ponad głowę — dziś Wigilia, Bóg się rodzi. Trzeba nam spokoju. I Bożego błogosławieństwa. Za chwilę przełamiemy się opłatkiem. Wszyscy.

— Ja tam z tym panem nie będę! — Kołakowa przepychała się z powrotem na swoje miejsce.

Siostra Brygida stała nad nią niczym anioł z mieczem ognistym.

— A zatem nie dostąpisz Królestwa Bożego! A śmierć ci grozi w każdej chwili.

Kobieta nisko pochyliła głowę. Po jej uróżowanych policzkach płynęły łzy.

Szlochała tak gwałtownie, że w samolocie zrobiło się cicho niczym makiem zasiał.

— Jest pani tylko samotną, nieszczęśliwą kobietą — wymruczała siostra Genowefa. —

A Syn Boży, który się dziś narodził, był z plemienia Judy. I matka Jego, Maria, jak święte Pismo mówi, pochodziła z Żydów. Chrystus był Żydem. Do samej, męczeńskiej śmierci. Więc o czym my tu mówimy?

Ludzie wzdychali, kręcili głowami, niepewni świata, w którym żyją, ani tamtego, sprzed dwóch tysięcy lat. Rzeczywiście, pomyślałam czesząc włosy, nikt nie pamięta, że Jezus był Żydem. Co by się stało, gdyby tłumy maluczkich, pielgrzymujące do Częstochowy przed cudowny obraz Czarnej Madonny, miały pełną świadomość, że obrali Żydówkę Królową Polski? A przecież tak się stało...

Najedzeni, uciszeni i skarceni przez Boże Posłanniczki pasażerowie zasypiali, ciesząc się chwilą spokoju.

Niestety, nie miała trwać długo. Coś się działo w pustej przestrzeni pierwszej klasy. Najpierw rozległy się donośne głosy pochodzące z otwartej kabiny pilotów. Wysunęłam głowę. Znow siedziałam obok pani Marianny, która lekko pochrapywała.

Zobaczyłam Jolę,

do połowy wysuniętą z kuchenki. Wyraźnie nadśluchiwała. Nie wytrzymałam. Wstałam cichutko.

— Co się dzieje?

Jola położyła palec na ustach.

— Klóć się.

— O co?

— O tego ich... Kinga.

Zdziwiłam się. Myślałam, że jego sprawa została załatwiona.

— Przecież nie żyje!

— No właśnie. Obszukali trupa i znaleźli jego paszport za koszulą. Także inne dokumenty. Jakież wyciągi bankowe.

— Co mają pieniądze do sprawy?

Jeszcze bardziej ściszyła głos. W głębi pomieszczenia krzątała się Kasia, a w powietrzu znow unosił się wspaniały zapach kawy.

— Okazuje się, że to nie był...

— Łysy nie był Ringiem? Zasłoniła mi usta dłonią.

— Nie. Był ochroniarzem w kantorze.

Odetchnęłam głęboko. No, to całkowicie zmienia sytuację. To znaczy, że cała zabawa w poszukiwanie konkurenta zaczyna się od nowa.

— Ale Kasia — szeptałam jej prawie do ucha — Kasia potwierdziła!

— I to od razu wydało mi się podejrzane. Ona wiedziała, że zabijając go, pomylili osoby. W obronie swojego szefa skłamała! Kiwnęłam głową. Rozumowanie było ze wszech miar logiczne. Kasia weszła z tacą filiżanek.

— Niosę to do kabiny.

— Posłuchaj, o czym mówią. — Jola odsunęła się od drzwi.

— Wiem o czym. Żeby wyrzucić na zewnątrz nieboszczyków. Bo oni tam leżą, w pierwszej klasie.

Otworzyłam usta. Jasny gwint! Zupełnie zapomniałam o nieboszczykach! Łysy i Szary Garnitur przecież nie wyparowali!

Kasia odeszła w głąb, za zasłonę. Spojrzałam na Jolę. Miała czerwoną, wciąż opuchniętą twarz i zaklejoną plastrem lewą powiekę. Zdecydowanie nie była już tą samą, ładną, zadbaną lalką Barbie,

99

jaka wczoraj przywitała mnie uśmiechem u stóp schodków. Raptem dwadzieścia godzin temu!

— Chcą ich wyrzucić z samolotu? Żeby ci marines czy też inni, z którymi pertraktują, myśleli, że zaczęli zabijać pasażerów?

— Tak. Jednego co godzinę. Takie dali ultimatum. Ci na zewnątrz przecież nie wiedzą, że Goran nie był zwykłym pasażerem. No nie?

Wróciła Kasia. Miała zmarszczone brwi i zaciśnięte usta.

— Jest, jak mówiłam. Jeśli w ciągu trzech najbliższych godzin nie dostaną pieniędzy i transportu, to...

Rozległy się kroki. Wszystkie trzy odskoczyłyśmy na bezpieczną odległość.

— Weź go za no'gi — usłyszałam głos Rolexa.

— Nie. Dziewczyny to zrobią. Ja muszę odbezpieczyć ładunek. Uciekłam na swoje miejsce najszybciej, jak umiałam. A nuż coś wybuchnie?

Ustawili się jak poprzednio.

— Wyrzucamy pierwszego nieboszczyka — powiedział Rolex do mikrofonu, którym zazwyczaj posługiwały się stewardesy. — To nasze ultimatum. Za godzinę następnego. Spośród pasażerów. Znudziły nas te pogaduszki. Koniec.

Drzwi otworzyły się. Kątem oka dostrzegłam szary garnitur. I obie dziewczyny zmagające się z ciężarem. Spłynął żółta, plastikową rynną, znikając gdzieś na wolności. Choć wolny był już od dawna. Wolny od życia.

— To nie był King! — powiedziałam półgłosem.

— Co? — pani Marianna się zbudziła.

— No, nie był Kingiem. Tym, którego szukali.

— Skąd wiesz? — Ucho starej damy było czerwone i odgniecione od zagłówek.

Przeciągnęła dłonią po włosach.

— Od Joli.

— Nic nie rozumiem... Kasia powiedziała...

— Skłamała — narzuciłam żakiet, bo zrobiło się zimno — żeby ochronić prawdziwego. Tylko ona wie, kto to taki.

Świeże powietrze wpływało przez otwarte drzwi. Niektórzy tak się przyzwyczaili do panującego wewnątrz zaduchu, że zaczęli pro-

100

testować. Głównie rodzina z ospowatymi bliźniaczkami w dość nieokreślonym wieku. Ciekawe, bo dotąd siedzieli cicho. Rolex ruszył w ich stronę. Kobiety natychmiast umilkły.

• — Zimno wara? To do roboty! — pchnął dziewczynę kolbą. — Do mycia toalety! Nie miały wyjścia. Poszły pomagać Joli. Jakoś wcale mi ich nie było żal. Drzwi zamknęły się z szelestem. Tylko Kasia tkwiła z nosem przylepionym do szyby. Chciała zobaczyć reakcję ludzi otaczających samolot na widok trupa podziurawionego niczym sito. Wierciłam się na siedzeniu, nie mogąc sobie znaleźć miejsca. Po ostro przyprawionej zupie chciało mi się pić. Ludzie, królestwo za herbatę z cytryną! Wstałam.

— Znów gdzieś leziesz?

Pochyliłam się nad panią Marianną. Siedząca za nią Kołakowa wyciągała uszy.

— Spróbuję zorganizować herbatę. Dla pani też? Starsza pani oblizwała usta.

— Jeśli ci się uda?

Ale się nie udało. Ledwie się tylko wyprostowałam, kadłubem samolotu wstrząsnął wybuch. Był dostatecznie silny, by ludzie znów zaczęli wrzeszczeć jak opętani. Nie upadłam tylko dlatego, że pani Marianna w ostatniej chwili chwyciła mnie za ramię.

— Wyszadzi nas! — wrzeszczała Basia Kondkowa, zasłaniając oczy. — O Boże, już po nas!

Wszyscy wstawali z miejsc poruszeni. Nawet Ala i Robert. Ja jednak cały czas obserwowałam naszych porywaczy. Gdy tylko przebrzmiał huk, Rodan zajął stanowisko Rolexa, gestem wskazując mu klapę.

— Gdzieś pieprznięło na końcu — sapał Zdzisio, ocierając twarz. Pocił się wprost niewiarygodnie.

— Na dole. W luku bagażowym.

— To już po naszych walizkach! — zajęczała Kołakowa. Rolex schodził ostrożnie. Jego głowa zniknęła pod podłogą. Obie stewardesy tkwiły bez mchu, oparte o drzwi toalety. Dziewczyny--dziobatki wybuch przewrócił w koiytarzyku. Zbierały się z podłogi,

101

gi, zalane łzami. Ich matka rzuciła się na pomoc, ale Rodan rozdarł się głosem wprost nieludzkim. Nigdy dotąd tak nie wrzeszczał:

— Siadać! Ani kroku! — Łoskot jego broni maszynowej zagłuszył tych, którzy krzyczeli najgłośniej.

— Jezu, strzelił! — wybąkałam w niemym zdumieniu, patrząc na dziury w suficie. — Naprawdę puścił serię!

Zrobiło się niemiło. Jeśli ktoś obcy był na dole, teraz nie wysunie głowy. Nie odbiją nas siłą. Nie mają szans. Jeśli chcą zostawić przy życiu pasażerów. Dalej będą toczyć z porywaczami miłą konwersację, obiecując im złote góry i wczasy dla całej rodziny. Najlepiej na Wyspach Kanaryjskich. Ludzie siedzieli wyprostowani, wpatrzeni szklanym wzrokiem w czarno-srebrną lufę. Była istotnie szybkostrzelna. Rodan, już spokojny, przeladował broń. Nabojami wypchane były nie tylko kieszenie czarnego kombinezonu. Także szeroki pas. I trzy magazynki. Wystarczy dla nas wszystkich. Nie miałam co do tego najmniejszych wątpliwości. On też. Robił teatralną demonstrację siły. I udało mu się opanować przerażony tłum

Głowa Rolexa znów ukazała się na wysokości podłogi. Miał uśmiechniętą twarz. Ludzie! On się śmiał całą gębą!

— W porządku — powiedział wyłażąc — pułapka zadziałała. Już nikt nie będzie próbował dostać się tutaj od strony ogona.

Jasnowłosa skinał głową.

— Jakies zniszczenia? Rolex wzruszył ramionami.

— Żadne. Ładunek był założony fachowo. Cały wybuch poszedł na zewnątrz. — To

mówiąc, zniknął za zasłoną. Za nim podążył przystojniak o kryształowych oczach. Że też akurat taki ładny chłopak musi być zabójcą! — pomyślałam ze smutkiem. Naprawdę mi się podobał. Jego twarz, zarys ust. Ruchy takie... kocie. Szkoda! Ruszałam do kuchenki. Zastałam tam tylko Jolę. Kasia przywarła nosem do szyby w drzwiach.

— Zabrali go.

— Kogo? — spytałam, przepychając się, by też coś zobaczyć.

— Naszego... Kinga. I jakichś własnych. Chyba oberwali podczas wybuchu.

Rzeczywiście. Kilku osobników w ochronnych panterkach ciągnęło po płycie rannych czy też zabitych.

— Chcę herbaty — wyszeptałam, patrząc błagalnie w niebieskie oczy Joli. —

Błagam. To ostatnie życzenie skazańca. Przed śmiercią.

Joli nie było do śmiechu. Przeżycia ostatnich godzin wyraźnie nadwątlily jej stan psychiczny. Odgarniała włosy opadające na czoło, wodząc wokół nieprzytomnym wzrokiem. Zawołałam Kasię.

— Zrób coś z Jolą. Świruje.

— Dam jej coś na uspokojenie. Zastrzyk kardiamidu z kofeiną.

— Dlaczego go nie dałaś pani Teresie, choć się zwijała z bólu? Kasia wzruszyła ramionami.

— Skarbie, pasażerowie mnie nie obchodzą. A zastrzyki mam tylko dwa.

— A kapitan? — Jola nagle odzyskała świadomość. Podeszła pół kroku. Tylko tyle miała miejsca. W jej dłoni lśnił... kuchenny nóż.

— Odłóż to! — wrzasnęłam. W kuchence było ciasno i bardzo niebezpiecznie.

Kasia stała niczym w potrzasku. Pomiędzy nami dwiema. Po jej twarzy przebiegało drżenie. Wiedziała, że nie poradzi.

— Chętnie dam ci zastrzyk dla kapitana. Ale na dół nie zejść. — Oddała ampułki.

— Umiesz robić zastrzyki? — spytałam Jolę. Grzebała w torbie wśród jednorazowych igieł.

— Sobie nie. Pawłowskiemu tak.

— Myślę, że trzeba przenieść kapitana na pokład. Kasia spojrzała na mnie jak na wariatkę.

— Pomysł dobiy, ale trudno wykonalny. Jak go chcecie wciągnąć? Oni nie pozwolą.

— To nie będziemy pytać.

— Nie boisz się pomagać? — Jola mrugała rzęsami. Rozcięta powieka już nie krwawiła.

— Boję się. Tylko wariat się nie boi — odpowiedziałam, czując, że poca mi się dłonie. — Ale cholera mnie bierze na naszą bierność. Nie musimy się zgadzać na wszystko! No, nie musimy!

Jola zastanawiała się. Walczył w niej strach z poczuciem obowiązku.

|^tagi

102

103

1

— On... musi żyć. Ma rodzinę, dwoje dzieci. I mnie — dorzuciła po chwili.

— Jasne. — Kasia знаła życie. — Jak na wszystkich liniach świata. Rodzina to jedno. A pokładowa dziewczyna to drugie. Banał. — Odchyliła zasłonę, by posłuchać, co się dzieje w kabinie pilotów. Niestety. Drzwi były zamknięte.

— Nie boją się, że zwiejemy przez dziurę w ognie? Wcale nas nie pilnują.

Kasia spojrzała na mnie jak na istotę niespełna rozumu.

— Bo pozakładali pułapki. Takie, jak te na drzwiach. Za każdym razem gdy chcą je

otworzyć, dłubią przy ładunkach.

— Wygląda, jakby mieli tu cały arsenał nuklearny. Lada moment w naszym samolocie wybuchnie trzecia światowa.

— Jak to przenieśli? — nie mogła się nadziwić Jola.

— Dobrze opłacona pomoc z wewnątrz.

— Do diabła! — wrzasnęłam, bo wściekłość zalała mi oczy.

— Co na to służby lotniskowe? Te wszystkie bramki, prześwie-tlarki? Toż tu można było wjechać czołgiem! I nikt by tego nie zauważył. Cholera, nikomu nie można wierzyć — dodałam już spokojniej. — To idziesz?

Jola zawięła w chusteczkę strzykawkę i dwie ampułki. Z latarką w dłoni zniknęła w głębi ciemności.

— Słuchaj — powiedziałam do Kasi. Była nam wciąż bardzo potrzebna. — Ta starsza pani, koło której siedzę...

— No wiem. Co z nią?

— Marzy o herbacie. I ja też. Mogę pomóc pod nieobecność Joli. Skinęła głową. Bez słowa włączyła ekspres. Ucieszyłam się, że nie jest na mnie zła.

— Znajdź herbatę. Powinna być w szafce. Taka ekspresowa.

Posłuchałam. Wyciągnęłam z pudełka małe paczuszki na sznureczkach, wspominając dom; Jacuś mówił na nie: herbata na smyczy. A mama nigdy takiej nie piła.

Parzyła sobie mieszankę z czterech puszek. Tato miał swoją własną: Liptona malinowego.

Nie usłyszałyśmy, kiedy nadszedł Rodan. Stał w drzwiach, przyglądając się naszej krzątaninie.

— Gdzie stewardesa? Ta blondynka?

Poczułam ucisk w sercu. Herbata wypadła mi ze sztywniejącej dłoni. Stałam jak słup, przetykając ślinę. Kasia miała trupio bladą twarz. Długo trwało, zanim odważyłam się na niego spojrzeć. Miał usta rozciągnięte w uśmiechu! Ludzie! On się uśmiechał. Tak jak uśmiecha się pajak do złowionej muchy. I to z powodu tego bezgłośnego uśmiechu szlag mnie trafił. Bo ja się bałam jak jasny gwint. A ten... drab, zbój, morderca stał sobie w drzwiach kuchenki, szczerząc zęby. Wzięłam oddech.

— Zeszła do kapitana.

Uśmiech zamarł mi na ustach. Ale teraz ja się przestałam bać. Diabli wiedzą dlaczego. Istniała między nami jakaś gra. Być może na śmierć i życie. Ale coś było.

— Zawołaj ją! — wycedził.

— Nie zawołam. Mogę zejść. — I nie czekając na pozwolenie, zrobiłam dwa kroki do przodu. Miałam jego głowę tuż nad sobą. I kryształowe oczy. Blade, prawie białe. I nie wyczułam w nim nienawiści. Może raczej... zdziwienie. Żebym mogła opuścić kuchenkę, musiał się cofnąć. Zrobiłam ruch. On też. Kasia otworzyła usta.

Wyglądała jak niemy krzyk. Coś z obrazu Muncha, który widziałam w Muzeum Literatury. Wahał się dwie sekundy. Potem ustąpił.

Złaziłam w czarną dziurę, nic nie widząc i nic nie słysząc. Nawet gdyby posłał za mną serię z automatu, pozostałabym głucha. Jak pień.

— Jo... Jola — chciałam zawołać, bo bez latarki nie widziałam na dwa kroki. Ale z moich ust wydobyło się tylko jakieś chrapnięcie. Potykając się i macając niczym ślepiec, szłam w zapamiętanym kierunku.

— Kto? — Jola wyrosła niczym olbrzymi cień.

— To ja — wyszeptałam. — Kazał, żebyś wróciła. — Co z nim?

— Chodź — nie odpowiedziała. — Pomożesz mi.

Kapitan Pawłowski leżał wygodnie, z miękką torbą pod głową. Jego szpakowate włosy poplamione były zakrzepłą krwią. Ale oczy otwarte i czujne wyglądały zupełnie przytomnie. Posłałam mu uśmiech. Wyszło tylko skrzywienie warg. Cały czas nasłuchiwałam, czy za mną nikt nie schodzi. Rodan lub Rolex.

— Musimy kapitana przetransportować na górę. Nie można go

104

105

I

tu zostawić. W ciemnościach. — Stewardesa podłożyła mu ręce pod plecy. — Spróbuj.

Nie był przekonany.

— Nie zawracajcie sobie mną głowy.

— Leszek, to ostatnia szansa. Nie pozwolą nam więcej tu zejść. Chyba się boją, że rozbroimy te ich pułapki. I odłączymy druciki. Choć Bóg mi świadkiem, w życiu bym czegoś takiego nie dotknęła.

Ciągle kręcił głową. Nie miałyśmy żadnego innego argumentu. Nagle, z góry rozległ się... śpiew!

— Lulajże, Jezuniu, lulajże, lulaj...

— Kolęda! — Kapitan nagle usiadł. — Oni tam śpiewają...

Jola wykorzystała moment. Skinęła na mnie. Zrozumiałam. Podparłam kapitana z drugiej strony. Wszystko zależało od tego, czy przez kilka minut zdoła się utrzymać na nogach. Nie miałyśmy sił, by go wlec.

— A ty go, matulu, w płaczu utulaj... — płynęło z pokładu, dodając otuchy.

Pawłowski zdobył się na straszliwy wysiłek. Jego oddech przypominał świst. Czoło zlało się potem. Ale stanął. Poczulałam potworny ciężar. Jola też. Zrobiłyśmy parę kroków. Nie szedł. Raczej ciągnął stopy.

— Nie wejdzie na górę! — wysapałam.

— Wejdzie! — W Jolę wstąpił duch przekory. Wierzyła, że Pawłowski pokona słabość. Widać dobrze go znała, bo doprawdy nie wiem, jakim cudem wywindowaliśmy się w trójkę po kilku szczeblach. Czułam jego palce wczepione w moje ramię. Bolało jak diabli!

Jola wydostała się pierwsza. Za nią popychany przeze mnie mężczyzna. Gdy tylko jego głowa ukazała się ponad klapą, w kabinie samolotu rozległy się oklaski.

Kilka osób skoczyło nam na pomoc. Uścisk zelżał. Odetchnęłam. Jedyne, co widziałam, to drgające w uśmiechu wargi Rodana. Chciałam go zabić. Z zimną krwią. Nie za to, co zrobił i kim był. Za to, że się bezczelnie śmiał. Gdybym miała rewolwer Łysego...

Ale nie miałam. Upadłam na kolana, ciężko dysząc. I nie ruszyłam się, dopóki nie przyszła po mnie Borkowska.

— Ewa, co ci? Wstań.

106

Czułam się jak Łazarz.

— Lulajże, Jezuniu, me pieśń idei ko... — kończono pieśń. Minęła pełna godzina od ostatniego otwarcia drzwi. Rolex spojrzął na zegarek. Skinął głową.

— Wywalamy, już czas.

Znów stanęli z bronią gotową do strzału. Tym razem nie wskazali na stewardesy. Tylko na bliźniaczki.

— Wy!

Wzbraniały się, wczepione paznokciami w fotele. Ich ojciec, ten Flip czy też

Flap, próbował perswazji:

— Mirka, Lusia, nic wara nie grozi!

— Idźcie, dziewczynki! — doradzała matka, prawie płacząc. Zaparły się niczym dwa osły. Odwracały głowy, zamykały oczy,

działały niczym jednakowo nakręcone elektroniczne kukły. Rolex trzepnął jedną z nich żelastwem pod żebro, aż zawyla. Wtedy druga przestała się opierać.

Łysy spłynął po żółtej rynnie w lepszy świat. Widziałam przez okienko, patrząc ponad głową pani Marianny, co działo się na dole. Do trupa przyskoczyło dwóch w panterkach i jeden cywil. Bez broni.

— Pewnie lekarz — wymruczała moja sąsiadka, głośno sapiąc. — Bada go. Odszedł. Tamci ciągną nieboszczyka po płycie.

— Zaczął się jakiś ruch — dorzucił Zdzisio Kondek. — W tym mikrobusie, który stoi za samolotem. Wyskoczyło czterech.

— Wojskowych? — Kotlarski nic nie widział. Zasłaniało skrzydło.

— Nie. W czarnych płaszczach.

— Pewnie jacyś dyplomaci! — zezłościła się Kołakowa. — Zamiast nas odbić, choćby i nawet napuszczając tu gazu, oni z nimi toczą pogaduszki! Jak przy kawie.

— No, wie pani? — Basia Kondkowa przestała czesać swoje czarne długie włosy. — O jakim gazie pani mówi? Można się na śmierć zatruć.

— Niekoniecznie — wtrącił Flip lub Flap, włączając maszynkę do golenia. Chyba na baterie. — Jeśli to gaz paralizujący, działa tylko kilka lub kilkanaście sekund.

W tym czasie można obezwładnić napastników.

— To czemu tego nie robią? — upierała się Kołakowa.

107

— Nie wiem. Przyznam, że nie rozumiem tych z zewnątrz.

Sprawa gazu pozostała nie rozstrzygnięta. Ale widok nowej ofiary coś zmienił w geografii strategicznej właściciela pasa startowego, na którym tkwił nasz samolot. Zaczęło się okrążanie. Pojawili się ludzie w panterkach. Nasi oprawcy też to zauważyli. Ale komentowali fakt na swoją korzyść.

— Chyba się dogadaliśmy — powiedział Rodan głośno. — Dostaniemy pieniądze i samolot.

Pasażerowie nie wyrażali zachwyty. W ogóle zamilkli. Nawet obie zakonnice przerwały przygotowania. Od jakiegoś czasu zbierały opłatki. Widać bardzo im zależało, by religijnej tradycji stało się zadość. Podziwiałam je za to.

Jola przy pomocy pani Stanisławy ułożyła kapitana Pawłowskie-go jak najwygodniej.

— Dałam mu zastrzyk. Nie wiem, co więcej możemy zrobić?

— Zmienić bandaż. I przemyć ranę. Ja to zrobię. Mam, co potrzeba. Wodę utlenioną...

Przestałam się martwić o kapitana. Był w dobrych rękach. Ale uśmiech Rodana niepokoił mnie bardziej niż jego broń.

— Za godzinę znów kogoś zastrzelą — powiedziałam do przechodzącej Joli. — Mogą wybrać kapitana.

Dziewczyna spojrzała na mnie pociemniałymi oczyma.

— Po moim trupie! Wzruszyłam ramionami.

— Słuchaj, tu nie słowa się liczą, tylko czyny. Coś trzeba zrobić, bo ci na zewnątrz tylko się przegrupowują. Myślą, że zastraszą terrorystów?

— Może trzeba pogadać z Kasią?

Nie znałam intencji Kasi. Ochraniała człowieka, o którym nikt nic nie wiedział.

Prócz tego, że nosi pseudonim King. Był chyba kimś w rodzaju króla lynku bronią.

Ale po jaką cholere podróżował na Wyspy Kanaryjskie?

— Kasia nam nic nie pomoże — wymruczałam. Znow odezwał się głośnik:

— Kto ma chęć na herbatę, niech podniesie rękę.

Ludzie najpierw zeszywnieli, a potem rozległy się nieśmiałe głosy:

108

— Ja! My! Ja też!

— Kto to mówił? — spytałam, ale Joli już nie było. Szła między rzędami, licząc uniesione w górę dłonie.

— Żaden z nich — odpowiedziała pani Marianna, trąc policzki. Robiła to odruchowo. — Muszę do toalety.

Wstałam, by ją przepuścić. Zobaczyłam obie zakonnice z kolorową plastikową tacką pełną opłatków.

— Kochani — powiedziała siostra Genowefa, unosząc tacę niczym ksiądz hostię — podzielimy się opłatkiem, jak każe obyczaj. Niech nowo narodzony Pan nasz i Zbawiciel da nam siłę do przeżycia. Nasz los jest w ręku Boga.

— Amen — powiedziała wzruszona Teresa. Jej oczy błyszczały. Ludzie podnosili do ust białe okruszyny. Na wymizerowanych twarzach pojawiały się cienie uśmiechu. Wzięłam dla siebie. Pani Marianna długo nie mogła wyłowić strzępka.

— Wiem, że małutko — tłumaczyła dobrotliwie siostra Biygida. Ale musi starczyć dla wszystkich.

Zapewne by wystarczyło. Siostrzyczki wcześniej policzyły liczbę osób. Ale dwie odmówiły stanowczo.

— Nie chcecie Ciała Pańskiego? — zdumiała się Genowefa. Obie bliźniaczki uparcie kręciły głowami.

— Nie chcą, to nie! — warknęła pani Komornicka. — Pewnie to jakieś bezbożnice! Matka dziewczynek wybuchnęła głośnym płaczem. Ich chudy ojciec uniósł się z fotela. Miał nie ogoloną twarz i cierpienie w oczach.

— Jesteśmy katolikami. Tylko one... one zostały... — nie potrafił dokończyć.

— Co im? — dopytywała się Kołakowa. — No, co? Odpowiedź padła ze strony, której się najmniej mogłam spodziewać.

— One należą do sekty — powiedziała głośno Kaja. — Do Świętego Światła.

Ludzie odwracali głowy.

— A ty skąd wiesz? — głos pani Jankowskiej pobrzmiwał nutami oburzenia.

109

— Bo sama tam byłam. Raz czy dwa. Ojciec Kai odwrócił zdumioną twarz.

— Ty? Nigdy mi o tym nie mówiłaś.

— Nie chciałeś słuchać. Zabrałam też Dorotę.

— Moją córkę? — wrzasnął. — Jak śmiałaś?

— Gdybyś tylko pamiętał, że masz dwie córki — wymruczała cicho. I nagle pękła niczym przekłuty balonik. Zaczęła szlochać.

Zakonnice stały z tacką, nie wiedząc, co robić. Obie dziobatki siedziały ze spuszczoneymi głowami.

— To prawda? — spytała siostra Biygida przykucając. Jej głowa zasłaniała mi widok dziewczyn. Nigdy dotąd nie zetknęłam się z wyznawcami jakichkolwiek sekt. Widywałam ogolonych wyznawców Kryszny. Miałam do nich stosunek raczej pozytywny. Wydawali się ludźmi zmierzającymi do naprawy świata metodami pokojowymi. Ku światłu, miłości i tolerancji.

Wstały obie niczym nakręcone roboty. Ich twarze jaśniały tajemnicą.

— Bóg nie istnieje — powiedziała ta nazwana Mirką.

— Światłem jest ON. Tajemniczy. Ale przyjdzie — dorzuciła druga.

— Kto? — przeraziła się Basia Kondkowa.

— ON. Nie znacie go. Jest wszędzie. Siostra Genowefa przetykała ślinę.

— To Bóg jest wszędzie.

Dziewczyny stały wyprostowane jak struny. Ich oczy ciskały błyskawice.

— Nie oderwiecie nas od NIEGO!

— Chcieliście nas wywieźć z kraju! — Lusia uniosła dłoń, odwracając się w kierunku rozpaczliwie szlochającej matki. — Ale nic z tego! To ON sprawił, że tu stoimy. To jego siłą nie pozwoliła nas oderwać od ziemi.

— ON, ON czuwa. Chwała mu!

— Chwała!

Usiadły tak nagle, jakby wspólnota myśli i uczucia kazała im poruszać się z jednakową prędkością w jednakowo wytyczonym kierunku.

— Boże! — wyjąkała siostra Brygida, czyniąc szeroki znak krzyża. — Boże, odpuść im, bo nie wiedzą, co czynią!

W zapadłej nagle ciszy matka dziewcząt zaczęła mówić rozedrganym głosem, pokonując szloch i wstyd.

— Ukradli mi je! Dwa lata nie były w domu! Szukaliśmy wszędzie... przez policję, prywatnych detektywów. Aż ktoś powiedział o tej sekcie. Mąż...

— Pojechałem do ich guru — mężczyzna połykał słowa, denerwował się, składał dłonie, jakby prosząc świadków zdarzenia o wyrozumiałość i chęć wysłuchania do końca. — Powiedział, że przeszły dwa stopnie wtajemniczenia. Czekają na trzeci.

— Co to znaczy? — pani Borkowska poprawiała kapitanowi bandaż.

— To, że będą sypiały z guru. Lub on wyznaczy im mężów spośród ludzi sekty.

— Więc jak to się stało, że są tu... z wami? — cichy głos Lucyny przebił się z przedostatniego rzędu.

Mężczyzna otarł czoło. Było mokre od potu.

— Ludzie pomogli.

— Siłą? — spytał praktyczny Zdzisio.

Odpowiedzią było milczenie. Ale nikt nie miał wątpliwości.

Opadłam na siedzenie. Za dużo jak na moje nerwy. Miałam w głowie potężny mętlik.

Ludzie, ich sprawy, wiara w to lub w tamto... zbrodnia, krew i przemoc. — Czy

nie ma tu normalnych? Rozejrzałam się. Pewnie byli. Siedzieli wśród porzucanych rzeczy, bo przestały mieć znaczenie. Nikt nie porządkował foteli, własnych toreb, części garderoby. Żyli tak, jakby za moment potężne tornado miało znieść nawet najdrobniejszą kruszynę. Przyjrzałam się sobie. Też taka byłam. Bluzka ledwie zasłaniała pasek u spodni. Wymięta i poplamiona nie wiem, krwią czy zupą. Uciskał mnie wojskowy, zdobyczny nóż. Był wszelako jedyną obroną. Buty nie-porządnie zasznurowane, bo je zdjęłam parę razy do drzemki, próbując, zwinięta w precelek, złapać choć minutę snu. Niestety, nie umiałam.

Wolałam nie patrzeć w lustro. Czułam się źle i zapewne tak wyglądałam. Tylko dwie osoby wciąż dbały o własny wizerunek: Basia Kondkowa i rudowłosa piękność z trzeciego rzędu bliżej

110

UI

toalety. Ta kobieta rzadko się odzywała. Jej towarzyszkę wypuszczono w drugiej turze. Wyglądała w swym eleganckim kostiumiku jak modelka z okładki francuskiego czasopisma. Mimo zmęczenia i nieustannej nerwowej atmosfery kobieta starała się egzystować możliwie bezpiecznie. Chwilami drzemała, co powodowało, że rudawy kok oparty o zagłówek rozsypywał się, tworząc artystyczny nieład. Udawała, że oczy

ma zamknięte. Wszystkiemu bacznie się przyglądała spod rzęs. Obok, na sąsiednim pustym fotelu leżała książka. Ale tak, by specjalnie nie eksponować autora ani tytułu. Nie rozmawiała z sąsiadami, nie próbowała palić, choć widziałam zapalniczkę, którą się bawiła. Intrygowała mnie od jakiegoś czasu. Pani Marianna nie wracała, zbóje rozmawiali przez radio czy telefon komórkowy za zasłoną, chciało mi się pić. Herbata! — przypomniałam sobie. — One robią w kuchence herbatę! Nie było lepszego pretekstu, by wstać i zajrzeć, co się tam dzieje. Wszystko było lepsze od siedzenia bez ruchu. Przechodząc koło rudej, podniosłam z podłogi zielono-szafirową apaszkę, cienką niczym mgła.

— To pani? — spytałam, choć dobrze wiedziałam, że należy do niej.

Otworzyła duże, zielonkawo oczy.

— Tak, dziękuję.

Przycupnęłam na oparciu. Coś powodowało, że przyglądałam się nieznajomej dość natarczywie. Miała około czterdziestki. Cienki nos, pełne, nie umalowane wargi. Mogła wciąż jeszcze uchodzić za piękną.

— Przepraszam — wymruczałam, bo zupełnie nie wiedziałam, jak zacząć rozmowę. — Pani to... nie stresuje?

— Co? Sytuacja?

— Tak. Obserwuję prawie wszystkich. Miotają się niczym myszy wśród pułapek. Ja także.

— Wydaje ci się, że siedzę sobie z olimpijskim spokojem na obliczu? Po prostu staram się.

— O co?

— Nie zwracać na siebie uwagi.

Kiwałam potakująco głową. To, co mówiła, brzmiało rozsądnie.

— I pomaga?

112

Wykręciła szyję. Siedziałam z boku. Z trudem widziała moją twarz.

— Przeważnie. Zmyłam z siebie całą charakteryzację. Uśmiechnęłam się. Miała twarz dokładnie oczyszczoną z kosmetyków.

— I od tego człowiek się zmienia?

— Nie każdy. Ale ja tak. Ludzie znają moją twarz ze sceny. Przeważnie w mocnym makijażu. Jestem aktorką. Potrafię się zmieniać.

No, jasne! Teraz wiedziałam! Że też nie poznałam królowej Marii, Lady Makbet, Lizystraty!

— Pani jest...

— Ciii — położyła palec na ustach. — Nikt mnie nie rozpoznał. I tak jest dobrze. Po co robić niepotrzebną sensację. Nie wiem też, jak by się zachowali ci... troglodyci...

— Kto?

— Jaskiniowcy. Nasi porywacze. Posłałam jej ciepły uśmiech.

— Oni nie chodzą do teatru. A już na pewno nie na Szekspira. Mogli tylko... no, nieważne...

— Co masz na myśli?

— Widziała pani, co zrobili z Alą? Tą dziewczyną. Cień przemknął po jej bladej twarzy.

— Wiem. Ale też jej zachowanie...

Wolałam nie dyskutować o Robercie i Ali. Ani o pastylkach ekstazy, które łykał. I o tym, że nic nie jest jednoznaczne. I nikt.

— Chce pani, żebym już sobie poszła?

Położyła mi dłoń na kolanie. Miała wąskie, piękne palce ze śladem po obrączce. Pewnie zabrali ją dwaj panowie „R”.

— Zostań. Jesteś jedyną osobą, która nie mówi mi, co jest dobre, a co złe.

— Teatr mówi — pozwoliłam sobie mieć odrębne zdanie. — Mnie teatr zawsze mówi, co dobre. W odróżnieniu od filmu.

Uśmiechnęła się promiennie.

— To fantastyczne. Odnoszę czasem wrażenie, że w dzisiejszych czasach nasza sztuka nie dociera do widza. Jesteśmy skazani sami na siebie. To świat jak z kryształu. Przejrzysty, a jednocześnie twardy. Bez ludzi gubimy się.

8 — Zatrzymajcie świat...

113

— Czy... czy kolor pani włosów jest naturalny? — zadałam to głupie pytanie, bo nic innego nie przychodziło mi do głowy.

— Nie. Szampon kolorujący. Przeszkadza ci to?

— Skądże! Sama wyglądam jak srokata kuropatwa... Przyjrzała mi się.

— Masz ładną buzię. Nietuzinkową. Skośne nieco oczy, dobra oprawa... trochę zbyt krótkie rzęsy. Byłabyś dobrym obiektem dla fotografa. Ale musiałabyś coś zrobić z włosami...

— Też to wiem. Na przykład moja sąsiadka, starsza pani, ma przepiękne siwe loki. Gęste i błyszczące. A ja...

— Peruka.

— Co? — nie zrozumiałam.

— Mówię, że to jest peruka. Wierz mi, znam się na tym. Starsze kobiety często cierpią z powodu wypadania włosów. Cóż, starość... z wiekiem to się nasila. Brak hormonów albo czegoś... nie wiem. Od czasu gdy peruki stały się takie modne, nie ma już problemu!

— Tak pani myśli? Nie zauważyłam. Chociaż... zdawało mi się, że widzę koło jej ucha krótkie, czarne włoski.

— No widzisz. Gdyby nie to, że tak długo tu siedzimy, że nie może jej zdjąć, choć zapewne trochę uwiera, nigdy byś nie zauważyła.

— Ale pani tak?

— Oczywiście. Jestem zawodowcem. I nie ona jedna nosi cudze włosy.

Otworzyłam szeroko oczy.

— Ktoś jeszcze?

— Ta pani... chora...

— Teresa? — odwróciłam głowę. Obie przyjaciółki spały lub drzemały na białych zagłówkach. Brązowe, krótkie loki opadały na czoło chorej. W życiu bym się nie domyśliła, że to peruka. — Z powodu śmiertelnej choroby?

— Sądzę, że tak. Od naświetlań traci się włosy. Zdumiewa mnie fakt, że wybrała się w tak daleką podróż.

— Może... właśnie dlatego? Żeby zapomnieć? — nie zamierzałam wtajemniczać aktorki w zawiły życiorys Teresy, Bronisława i Lucyny.

114

Wracała pani Marianna ze szklanką herbaty. W parującej wodzie taplała się torebeczka.

— Bardzo miło się z panią rozmawiało — powiedziała, bo tak mnie uczono. I choć dotąd nie przywiązywałam specjalnej wagi do tego, czego mnie uczono, poczułam wewnętrzną potrzebę właściwego zachowania. Na przekór brutalnemu życiu.

Uśmiechnęła się, przymykając oczy. Już nie była królową Margot ani żadną z dam Don Juana. Niestety.

W kuchence kłębił się tłum. Każdy z pasażerów chciał się pierwszy dopchać do wodopoju. I drobnych ciasteczek, które w zakamarkach znalazła Jola. Postanowiłam poczekać. Również na wolną toaletę.

Przez okienko w drzwiach widziałam dwa samochody, oba czarne i coś, co się wtaczało z boku.

— Samolocik! — wykrzyknęłam.

Kasia porzuciła szklanki. Przepchnęła się, o mało mnie nie rozgniatając na grubej szybie. Blisko niebezpiecznego ładunku.

— Uważaj, wybuchnie! Odsunęła się.

— Awionetka! Cholera, wywiną się!

— Myślisz, że to dla Rodana?

— Oczywiście. Skurczybyki dostaną jeszcze walizkę z trzema milionami dolarów!

Odwrociłam się. Miała złe oczy. Piękne, ale złe.

— Wolałabyś, żebyście to wy, z Kingiem?

— Milcz! — zakięła mi dłonią usta. — Oni są tu zaraz za zasłoną! Już nie rozmawiają z wieżą z kabiny pilotów. Boją się. Jest ich tylko dwóch, rozumiesz? Tylko dwóch!

Rozumiałam. Naturalnie, że rozumiałam. Z trudem łapałam oddech.

— Tyle samo, co was — wykrztusiłam. — Dwoje na dwoje. Tylko że oni mają broń!

Kasia skrzywiła wargi.

— My też mamy. Ale jeszcze nie czas!

Wróciła do kuchenki, zostawiając mnie pełną osłupienia. Jak to: mają broń?

Gdzie? Potarłam czoło, ale kłębiące się myśli nie stały się przez to bardziej klarowne. O co chodzi Kasi? I kto, u diabła, jest

115

tym Kingiem? Który? Jeszcze raz, z odległości spenetrowałam wnętrze samolotu.

Zdecydowana przewaga kobiet od czasu wypuszczenia części z nich na wolność nieco

zmaląła. To ciekawe, ale na wycieczkę pod palmy wybrało się mnóstwo samotnych

kobiet. Czego one oczekiwały? Romansu z pięknym Hiszpanem? Niezapomnianych chwil

wśród zieleni morskich fal i upojnych nocy? A potem powrót do garów,

księgowości, komputerów... po to jechały na Teneryfę? Po okruczeństwa?

Dzisiaj, w dobie AIDS? Przecież to bez sensu! A ja? Dlaczego dziewiętnastolatka

wywiewa z M4 tuż przed rodzinnymi świętami? Uciekłam przed kompotem z suszonych owoców?

Spojrzałam przez okno. Po szarej płycie jechał samochód. Rozpryskiwał krople

deszczu. Niebo było pochmurne, wiatr się wzmagił. Widziałam to po rozedrganych

flagach gdzieś tam, za horyzontem. Nawet nie miała sensu próba rozszyfrowania

barw owych flag. Za daleko. Mężczyźni, czterech w długich, ciemnych płaszczach,

wysiedli z eleganckiej limuzyny

— Gotowi do przetargu — usłyszałam za plecami. Odwróciłam głowę. To pan

Kotlarski w swojej tabaczkowej maiynarce. Trzymał w dłoni maszynkę do golenia.

Jego twarz pokrywała drobna szczecinka.

— Idzie się pan golić?

— Chciałem. Ale przybory kosmetyczne są w bagażu na dole. Bez pianki lub kremu nie ma co próbować. O, stanęli.

Rzeczywiście. Czwórka zatrzymała się w pół drogi. Obserwowałam poły ich

płaszczki, powiewające na wietrze. Rozmawiali o czymś ważnym. Jednak ciekawe było

to, że ani razu nie spojrzeli w stronę naszego samolotu. Najwyższy z nich, stąd

wydawał się najelegantszy, wyjął z czarnej teczki jakiś papier.

— Zaraz odfrunie — wymruczałam ze złością.

I rzeczywiście. Wiatr silnym porywem wyrwał mu z dłoni ów świstek, zatoczył młynka w powietrzu, a następnie zwałił na mokry bruk. Mężczyzna pozostał nieruchomy. Nawet nie próbował poszybować za zgubą. Pozostała trójka wyglądała na lekko rozbawioną.

— Oto stosunek Zjednoczonej Europy do spraw polskich — wyszeptał Kotlarski z odcieniem zgorznienia.

116

— Mają nas głęboko w dupie — dorzuciła pani Jankowska, usiłując wyciągnąć za sznurek zużytą torebeczkę herbaty. — Zbliża się czas. — Postukała w tarczę zegarka.

Spojrzeliliśmy po sobie.

— Zasób nieboszczyków się skończył. Jeśli nic się nie stanie, muszę zabić następną ofiarę. Bo nadszedł czas!

Pan Kotlarski zagryzł wargi i czmychnął na swoje miejsce. Nigdzie nie był bezpieczny. Każdemu wydawało się, że przed minutą „zero” najlepiej siedzieć na swoim fotelu. Nie wiadomo dlaczego. Do pełnej godziny brakowało piętnastu minut. Poczulałam taką suchość w ustach, że musiałam coś zrobić. Choćby zdobyć wreszcie herbatę. Może w głębi podświadomości nie •wierzyłam, że ofiarą mogę być ja? Dotąd zabijali mężczyzn. Ale nikt nigdy nie dał mi gwarancji, że dożyję późnej starości. Choć to bezdennie głupie umierać w wieku dziewiętnastu lat!

Woda już się skończyła. Ta gotowana. Ekspres ponownie szumiał i był to jedyny dźwięk mogący człowieka uspokoić. Przywoływał na pamięć dom, ciepły kaloryfer, kapcie z weluru i kolorową tacę z szeregiem filiżanek. Z cienkiej porcelany w błękitne niezapominajki. Ulubiony serwis mamy. Pamiętam, kiedy go kupowaliśmy. Strasznie dawno. Jeszcze nie było polskiego kapitalizmu. Jeszcze w Cepelii stało się w długiej kolejce. Mnie za rękę trzymał tato. Mocno i pewnie. Zapiękło pod powiekami. Rozklejam się? Nie wolno! Masz, czego chciałaś. Samodzielność, odpowiedzialność i swobodę. I co teraz?

— Herbata! — powiedziałam głośno i twardo.

Zmęczona Jola posłała mi coś w rodzaju uśmiechu. Miała przypudrowaną twarz, zamaskowane podkładem sińce i uśmiech z reklamowej broszury PLL LOT.

— Dam ci w szklance. Nie ma już jednorazowych kubków. Skończyły się. Skinęłam głową. Było mi to obojętne. Moje pokolenie traktowało plastik jak coś naturalnego. Na tym się je, tym się kroi i to się natychmiast wyrzuca. Fast food, McDonalds, Big Burger to my. Moja mama to jeszcze porcelana w niezapominajki. I herbata mieszana z czterech różnych gatunków.

Parzyłam wargi gorącym płynem. Nie chciało mi się wracać na

117

total. W ogóle lepiej się czułam w pozycji pionowej. I mogłam widzieć to, co się dało zobaczyć.

— Tam na zewnątrz toczą się rozmowy — powiedziałam do Kasi, ponownie włączającej maszynkę.

— Wiem. I wiem także, że zbyt długo to trwa.

— Nie masz jakiegoś pomysłu?

Spojrzała na mnie wyniosłe. W jej oczach dostrzegłam pogardę istoty wyższego rzędu do tej z najniższej hierarchii.

— To znaczy? Zbliżyłam się o krok.

— Mówiłaś, że wy też macie broń. Przecież nie ma lepszej chwili. Obaj są za zasłoną. Wystarczy tylko...

Kasia popukała się palcem w czoło.

— Naoglądałaś się Bonda? Skinęłam głową.
— Widziałam wszystkie. Te stare i te nowe.
— To zapomnij.
— Ale dlaczego? — mój dziecięcy upór zdenerwował czarnowłosa. Odstawiła szklanekę nieco zbyt gwałtownie. Pękła tuż przy podstawie.
— Zjeżdżaj na swoje miejsce! Nic tu po tobie!
— Chcę zrozumieć — przestępowałam z nogi na nogę.
— Nie jesteś najlepsza w te klocki! Myślisz, że chcę założyć tu własny cmentarz? Puścić serię z kałacha i co dalej? Ludzie z zewnątrz wiedzą o wszystkim.
— To znaczy... o Kingu też? Skąd? Kasia uniosła oczy do nieba.
— A jak myślisz? Ci dwaj nieprzerwanie prowadzą pertraktacje. Ich warunkiem jest także wydanie Kinga. Lub, najlepiej, jego śmierć. Także ludzi Kinga. Czyli mnie. Kiwałam głową. To miało sens. Za wszelką cenę chcieli się pozbyć groźnego konkurenta. Panowie „R” w najlepszym razie odlecą z trzema milionami. A King tymczasem przejmie ich rynki zbytu.
— Jesteś tego pewna?
— Oczywiście. Cały czas podsłuchiwałam. Przecież znaleźli się na pokładzie boeinga tylko po to, by zlikwidować Kinga.
— On o tym nie wiedział?
— Nie. Jest poszukiwany listami gończymi po całym świecie. Ale nie spodziewał się, że któś z jego wrogów wejdzie na pokład. Gdzieś musiał nastąpić przeciek...
Potrząsnęłam włosami. Łyk herbaty zamiast do gardła wpłynął do tchawicy. Zakrztusiłam się. Oczy o mało nie wyszły mi z orbit. Ktoś solidnie trzepnął mnie w plecy. Obejrzałam się zażawiona. To był Rodan. Znow się śmiał. Gdyby nie niebezpieczny przyrząd ze stalową lufą, który trzymał w ręku, miałabym za plecami jednego z najprzystojniejszych facetów, jakich widziałam w życiu. Jego jasne oczy, ostry, nie ogolony podbródek, bruzdy wzdłuż policzków tworzyły harmonijną całość. Stuprocentowy mężczyzna. Nawet zęby miał ładne. Trochę duże, ale ładne.
— Zaraz się zacznie — powiedział. Cholera, nawet głos brzmiał dobrze.
Melodyjnie.
— Co? — tarłam oczy, rozmazując łzy po policzkach. Wstyd mi było, że jestem taka brzydka. Ból w tchawicy wciąż mi przeszkadzał. Sięgnęłam po resztkę herbaty. Wypiłam duszkiem.
— Ostateczna rozmowa. Z tymi dupkami z CIA. Spojrzałam mu prosto w oczy.
— Skąd pan wie, kim są?
Chwycił mnie za ramię. Mocno i władczo. Prawie zawlókł do okienka w drzwiach samolotu.
— Widzisz tych czterech?
Skinęłam głową. Stali, wciąż rozmawiając.
— No, widzę. Ale nie mają na czole nazwy organizacji, do której należą.
— Jaka ty jesteś dziecinna! — w głosie Rodana pobrzmiwały tony protekcyjnalno-pogardliwe. Jak u Kasi. — Wezwałem ich. Przez wieżę kontrolną. Jeszcze w nocy.
— Po co? Żeby dali okup?
Przesunął broń na wysokość biodra. Mogłam się jej przyjrzeć z bliska. To nie był byle jaki kałasznikow. Tylko najnowocześniejszy karabin maszynowy. Prawie jak jeden z tych w „Gwiezdnym wojnach”.
— Co to jest? — mój palec dotknął zimnej lufy.

— Uzi. Izraelski. Niezawodny.

— To co z waszymi pieniędzmi?

— Okup sprawa drugorzędna. Za robotę, każdą robotę, się płaci.

— A co jest pierwszorzędne?

Zmrużył oczy. Wyglądał jak czarny kocur szykujący się do skoku.

— On. King. Jest tutaj.

— I co? Jak go znajdziesz? — zdałam sobie sprawę, że mówię mu na ty.

— Znajdę. Moja w tym głowa. Ten jego uśmiech... tak uśmiechają się krokodyle!

Nie dawałam za wygraną. Coś we mnie wstąpiło, co podniecało i nie dawało się zatłuc strachowi.

— Przecież sprawdzaliście wszystkich mężczyzn. Ich paszporty, kieszenie, złote sygnety...

Uśmiech zniknął z jego twarzy jakby zdmuchnięty.

— Forsa też się liczy. Każda. Tobie niczego nie zabraliśmy.

— Bo nic nie mam.

— A jak by tak pogrzebać w biustonoszu?

Poczułam, jak mi krew uderza do głowy. Mogą to zrobić? Mogą! I jeszcze coś gorszego. Wiedziałam, każda kobieta czuje szóstym zmysłem, że się podoba. Jeśli zechce mnie zaciągnąć do przedziału pierwszej klasy jak Alę... dotknęłam niewygodnej oprawy noża za paskiem. Przeszkadzał, ale mógł być użyteczny.

— Nigdzie nie będziesz grzebać... — wysyczałam.

W tej chwili odezwał się brzęczyk telefonu. Przyłożył go do ucha, cofając się za zasłonę. Rzucił od niechcienia Rolexowi:

— Odbezpiecz drzwi. I pilnuj.

Zrezygnowana wróciłam na swoje miejsce. Pani Marianna nie spała. Czerwone plamy zniknęły z jej policzków. Była upudrowana i umalowana. Można rzec — gotowa do wyjścia. Cudowna staruszka, nie tracąca ani fasonu, ani zimnej krwi.

— Wciąż gadają z tymi na zewnątrz — powiedziałam. — Rodan mówił, że są z CIA.

Wie pani, co to takiego?

— Amerykański kontrwywiad. Zdziwiłam się, ale nie za bardzo.

— Dlatego, że stoimy gdzieś w amerykańskiej bazie wojskowej?

120

— Tak sądzę. Mówisz, że się dogadują? Kiwnęłam głową.

— Naszym terrorystom chodzi o trzy miliony dolarów, zlikwidowanie Kinga i awionetkę. Już stoi.

Pani Marianna wyjrzała przez okno.

— Nic nie widzę.

— Jest z drugiej strony. Wszystko poszłoby o wiele szybciej, gdyby wiedzieli, który to King.

Kołąkowa słuchała naszej rozmowy z płonącymi uszami. Od dawna nudziła się sama w swoim rządzie.

— Jeśli do tej pory nie znaleźli? Ludzie, to już południe. Stoimy co najmniej szesnaście godzin!

— Od dwudziestu trzech — sprostowała siostra Genowefa. Nawet zakonnice przestały się modlić o zmiłowanie Boskie. Były zupełnie zmiadżdżone sytuacją, która je przerosła. Zdegustowane, biedne i kompletnie zagubione. — Czy my zginiemy?

— Ależ, siostro! — głos Teresy znów był słaby. Chyba miała nawrót bólu. — Tak nie można.

— Za pięć minut znów zabiją! — Zdzisio Konddek wpadł w histerię. Bał się tak

strasznie, że zamienił się miejscem ze swoją żoną. Siedział teraz wciśnięty w fotel przy oknie, do połowy zakryty marynarką.

Wszyscy umilkli. Gdy w przejściu pojawił się Rolex, zapanowała śmiertelna cisza. Można by usłyszeć lot ćmy, gdyby jakaś fruwała.

Rolex szedł między rzędami krokiem pумы polującej na zdobycz. Jego twarz wyrażała niewzruszoną wiarę we własne szczególne posłannictwo. I w to, że całkowicie panuje nad małą społecznością, zdarzeniem losu zamkniętą w metalowym pudle, z którego nie ma wyjścia. Najwyżej w charakterze trupa spływającego żółtą rynną, z dokładnością szwajcarskiego zegarka. Nie spieszył się, jak poprzednio. Uważnie przyglądał się siedzącym. I ich strachowi.

— Teraz — zaczął wolno — znajdę kogoś szczególnego. Może nim być człowiek poszukiwany przez wszystkie wywiady świata. Kiedy zginie, my będziemy wolni. Miałam ściśnięte gardło. Ręka sama sięgnęła w okolice paska od spodni. No, jeśli wybierze mnie, bo Kinga nie zdąży znaleźć, to

121

choć będę się bronić. Pewnie go nie zabiję, nie potrafię tego zrobić, ale na pewno zranię. Popamięta nasze upokorzenie do końca swoich dni.

Ale Rolex minął mój rząd. Zbliżał się do foteli, na których siedzieli Komornicy. Za nimi starsza pani, wyglądająca na profesora uniwersytetu, i pan, którego w ogóle nie zapamiętałam. Był jakiś taki... nijaki, wtopiony w tło. Nic nie mówił, nie jadł i nie pił. Jedno, co go odróżniało, to wyjątkowe worki pod oczyma. Wyglądały jak dodatkowe fałdy skóry.

— Weźmie go? — szepnęłam do pani Marianny.

Nie odezwała się. Zauważyłam, że ma ręce zaciśnięte na poręczach. Bała się. Chyba po raz pierwszy.

Rolex zawrócił. I wtedy nie wytrzymała Teresa. Z trudem uniosła się z miejsca.

— Niech pan weźmie mnie! Jestem chora... śmiertelnie... I już mi się nie chce żyć! — wybuchnęła płaczem, osuwając się na fotel. Lucyna ogarnęła ją ramieniem, uspokajała.

— Cicho, Teresko, cicho! Tylko Bóg wie, kiedy cię powoła do siebie.

Terrorysta odsłonił zęby. Wyglądał jak wilk. W zielonej marynarce, z małym, cienkim wąsikiem nad górną wargą.

— Kobiet nie zabijamy — odwrócił się do Nijakiego, wymierzając w nieszczęśnika wskazujący palec. — Ty!

Mężczyzna zwinął się na siedzeniu w kłębek. Z jego oczu sypnęły się łzy wielkości grochu. Małe rączki wczepił w siedzenie.

— Nieee! — zawył tak straszliwie, że wszyscy wstrzymali oddech. — To nie ja! Nie jestem poszukiwany! Mam stragan na bazarze, umarła mi żona, nie chciałem Wigilii spędzać sam... ludzie, nieee!

Zza zasłony wyszedł Rodan. Miał spokojną, prawie pogodną twarz.

— Weź go. Amerykanie nie chcą ustąpić. Przeciągają decyzję. Trzeba im posłać świeże mięsko. Jak lwom na arenę.

Nijaki wił się, zapierając się nogami i rękami. Nie wiem, dlaczego Rolex nie strzelił. Czyżby się bał, że seria trafi Teresę i Lucynę? Możliwe. Myślę, że także upływ czasu zrobił swoje. Obaj zbrodnia-

122

rze byli teraz w o wiele lepszej sytuacji niż dziewięć godzin temu, kiedy nie mieli jeszcze z kim pertraktować. Bo wieża kontrolna lotniska na ogół nie dysponuje sumą trzech milionów dolarów w podręcznej kasie.

— Każdy może być tym, kogo szukacie! Każdy! Ale nie ja! Rolex popychał go

kolanem. Aż żalność brała patrzeć na cierpienie człowieka.

— Tak mówisz? — Rodan wyciągnął dłoń, by przytrzymać czołgającego się.

— Może się przebrał za babę! — nieszczęśnik już sam nie wiedział, jakich użyć argumentów. Na jego spodniach coraz bardziej ciemniała plama. Odwróciłam wzrok. Spojrzałam w górę i zobaczyłam pionową zmarszczkę na czole jasnowłosego.

— To nie jest takie głupie — powiedział w zamyśleniu.

— Co ty? Co ty? — Rolex koniecznie chciał spuścić trupa żółtą rynną i mieć spokój na godzinę.

Jednak Rodanowi coś głęboko zapadło w umysł. Spojrzał na mnie bez uśmiechu.

Zimno i bezzwzględnie. Jego oczy wyglądały jak szparki ukrywające sople lodu.

— Ty — powiedział postępując krok.

Czułam dziwną słabość w dolnej części brzucha. I na dodatek nic nie słyszałam, jakbym oglądała film pozbawiony ścieżki dźwiękowej. Usta mężczyzny poruszały się, wargi odsłaniały zęby, ale ja nic nie słyszałam. Nic oprócz narastającego szumu w uszach.

Rolex opacznie zrozumiał słowa swego towarzysza. Puścił Nijakiego, który niczym raczkujące dziecko uciekał na czworakach wzdłuż przejścia aż na sam ogon samolotu.

— Ona? Ją mam zastrzelić?

— Sprawdzala w toalecie wszystkie kobiety — odparł nie spuszczać ze mnie wzroku.

Przełknęłam ślinę raz i drugi. To zawsze pomagało w kolejce na szczyt Kasprowego. Teraz też pomogło. Znow miałam uszy. Słyszałam wszystko ostrzej i wyraźniej.

— Sprawdzala! — głos Zdzisia Kondka zabrzmiał niczym cięcie maczety. — Ewa to robiła. Ale czy dokładnie?

— Ewa — uśmiechnął się jasnowłosy, kładąc mi dłoń na ramie-

123

niu. Czułam tę dłoń, bo była cięższa od młyńskiego koła. — Ale kto sprawdzał ciebie?

Rolex wybuchnął śmiechem. Podskoczył, chcąc mnie chwycić za sweter. Rodan odsunął go lufą karabinu.

— Ja to zrobię.

Usłyszałam ostry krzyk z końca maszyny. To Ala darła się niczym opętana:

— Oni cię zgwałcą, jak mnie! Lepiej daj się zabić! Daj się zabić! Robert zatkał jej usta dłonią, z siłą, o jaką nikt go nie posądzał.

Objął ramieniem i przytulił.

— Cicho! Nikt ci już nic nie zrobi. Nikt!

Czułam, jak mężczyzna przesuwając ręką po moim ciele. Czułam pod swetrem rła plecach jego dłoń. Potem dotknął moich piersi, łagodnie, prawie czule. Pieścił je. Otworzyłam usta, żeby krzyknąć, zaprotestować, ale nie wypowiedziałam ani zgłoski. Jego palce ominęły płócienny woreczek z dolarami, podważyły koronkowy stanik. Stałam, na oczach całego świata, naga i bezbronna, nie mogąc i nie chcąc zaprotestować. Ostry prąd przeszył kręgosłup, spłynął niżej. Już nie wiedziałam, ani gdzie jestem, ani dlaczego. Chciałam, żeby to trwało jak najdłużej.

I wtedy mnie puścił.

— W porządku. Jest normalną dziewczyną.

Rolex zezłościł się. Położył palec na cynglu odbezpieczonej broni.

— No, to kto? Czas ucieka. I ładunek na drzwiach zdjęty.

Nie wiem, dlaczego nie usiadłam. Stałam tak niewygodnie, poręcze fotela wpijały

mi się w uda. Osłoniłam tylko pas nagiego ciała bluzką. Nóż w skórzanej osłonie był widoczny jak na dłoni. Jasnowłosy stał zamyślony.

— Sprawdzałaś wszystkie kobiety, tak? — spytał wreszcie po długiej chwili milczenia.

— Tak — wyjąkałam. Prawie nie słyszałam własnego głosu.

— Sprawdzała, czy nie mają broni, a nie, czy są kobietami — powiedział nerwowo Rolex.

Rodan położył mi dłoń na ramieniu.

— No jak? Przysięgniesz, że nie widziałaś przebranego mężczyzny? Mów, dziewczyno. Twoje życie wisi na włosku. Bo my już nie

124

mamy ani minuty. — Jego palce zacisnęły się. Poczułam potworny ból.

— Wszystkie miały prawdziwe cycki? — Rolex trzymał mnie na muszce. Gdyby pociągnął, miałby dwa trupy. Także Kołakowej.

Dopiero w tej chwili cała groza zaczęła do mnie docierać. Nie pamiętałam tych wszystkich kobiet. Jak mogłam? Było ich prawie siedemdziesiąt. Nie dotykałam ciała. Wstydziałam się. A czasem nawet brzydziłam.

— Zakonnice! — zapiszczał Nijaki. Postanowił, biedak, zostać bohaterem dnia. Niczym specjalne menu z karty szefa kuchni. To miała być jego osobista zemsta za upokorzenia, jakich doznał. — Bo co tu robią zakonnice? Pierwsze słyszę, żeby jeździły kapać się pod palmy!

Rolex zwrócił na mnie rozwścieczone spojrzenie.

— No?

Złość rosła mi gdzieś w głębi ciała. Złość to nie to samo co strach. Wściekłość ma siedlisko w mózgu. Strach w żołądku i systemie nerwowym. Nie wiem, czy to jest prawda biologiczna. Nikt mnie o czymś takim nie uczył. Czułam to, co czułam. Myśli kłębiły się, szare komórki pracowały niczym komputer, podając słowa. Te spływały automatycznie.

— Nie! Nie wiem! — wołałam ze łzami, nad którymi nie umiałam zapanować. — Nie pamiętam!

Rodan znów zacisnął palce.

— Więc sprawdź je. Natychmiast! Siostra Genowefa wstała bez słowa.

— Sostro Brygido, idziemy!

Szły godne, wyprostowane jak struny, z palcami splecionymi na czarnych sznurach różańców. Tak je zapamiętałam. Na całe życie. ' Kiedy wracały z plamami rumieńców na policzkach, nikt nie powiedział słowa. Były tymi, za które się podawały.

Rolex wyszedł zza zasłony.

— Mam obmacywać wszystkie?

Jasnowłosy wreszcie zdjął dłoń z mojego ramienia. Mogłam usiąść. Potrzebowałam tego. Kolana miałam jak z waty. Uda drżały.

— Ty — powiedział wskazując na moją sąsiadkę.

125

I wtedy zdarzyła się rzecz wprost niesłychana. Z głębi kuchenki rozległ się brzęk. Kasia stała nad skorupami szklanego ekspresu. Wszyscy odwrócili głowy. Dziewczyna była kredowo biała. Lecz jej wzrok ciskał gromy. Zręcznie chwyciła jeden z wózków do rozwożenia potraw. Wykręciła go, blokując Joli wyjście. Odsłoniła boczną ściankę pojazdu, szukając czegoś w jego przepaścistym wnętrzu. I jeszcze jedna rzecz się zdarzyła, której nie mogłam się spodziewać. Nigdy. No, przenigdy. Uczułam nagle czyjąś silną dłoń na brzuchu. Zanim się zorientowałam,

nóż, ten, który miał mi służyć do obrony, znalazł się na moim gardle. W pierwszej sekundzie myślałam, że to Rodan. W drugiej sekundzie już wiedziałam, kto przyłożył mi ostrze do tętnicy. Odchyliłam głowę tylko na milimetry. To pani Marianna!'

— A... pa... — nie potrafiłam wykrztusić słowa. Kątem oka zobaczyłam przekrzywioną perukę. Spod siwobłękitnych loków wyzierały zakola czołowe i czarne, krótko przystrzyżone włosy.

To był mężczyzna!

— Jeden ruch i ona zginie! — powiedziała hybryda donośnym szeptem.

Obaj panowie „R” dali się zaskoczyć na ułamek sekundy. I ten moment wykorzystała Kasia. Kilkomina skokami dotarła do Rodana stając za jego plecami. W obu dłoniach trzymała broń. Wspaniała! Automaty najnowszej generacji tkwiły dotąd w wózku, przysłonięte rzędami „małpeczek”. Małych buteleczek z alkoholami, które z powodzeniem sprzedaje się w samolotach.

Sytuacja jak z gangsterskiego filmu. Złapał Kozak Tatarzyna, a Tatarzyn za łeb trzyma! Dlaczego to właśnie przysłowie tłuło mi się w mózgu? Ostrze noża dotykało wciąż mojej szyi. Jeden maleńki, nieostrożny ruch i wykrwawię się na śmierć. Jak kogut. Najgorsze było to, że sytuacja przedstawiała się patowo. Rolex mógł zastrzelić tego padalca udającego panią Mariannę. Mógł. Ale zginąłby także Rodan. I on sam.

Serce biło mi jak oszalałe. Czułam na policzkach oddech tej... tego, kto był panem mojego życia.

— Spokojnie — przemówiła hybryda, zrzuciwszy perukę z głowy. — Tylko spokojnie. Spróbujmy się dogadać.

126

— Po twoim trupie! — wykrztusił Rolex, unosząc lufę o włos za wysoko. Zanim poszła seria, stało się coś, czego nie zrozumieć nigdy. Rodan rzucił się, dosłownie się rzucił, by wyzwolić mnie z rąk oprawcy. Ale nie zdażył. A może zdażył, wiedząc, że znajdzie się na linii strzału? Nie wiem. I nigdy nie będę wiedziała. Poczułam, jak odgina rękę z nożem, przygniatając mi głowę do swoich kolan.

Ale seria poszła. Znów nic nie słyszałam, choć huk pocisków rozrywających ciała i fotele musiał być potężny. I wrzask wydobywający się z dziesiątków gardeł. Ja widziałam film. Zwolnione klatki: siwa peruka zsuwająca się z krwawego czoła. Otwarte oczy zachodzące mgłą śmierci. I czerwona plama rozlewająca się na piersi jasnowłosego. Umierając zawisł nade mną. Dlatego żyję, choć jeszcze o tym nie wiem.

Druga broń też wypluła naboje. Wściekłość czarnowłosej nie miała granic.

Terkotała tym żelastwem w zieloną marynarkę, aż umilkła z braku amunicji.

Wrzask sięgnął zenitu. Parę osób odniosło rany. Ktoś ściągnął ze mnie trupa.

Jego kryształowe oczy miały zdziwiony wyraz. Zaskoczyło go, że mnie obronił własnym ciałem? Czy też fakt, że współnik go nie usłuchał? Tego już nie będę wiedziała. Z przerażeniem zobaczyłam strumyczek krwi, ściekający mi na włosy.

Nie mojej krwi. Obrońcy. Pani Marianna, nie, padalec w stroju kobiecym leżał z głową odchyloną do tyłu. Na piersiach, twarzy i plastikowej osłonie samolotu rozlewały się ciemniejsze plamy. Ktoś mnie chwycił za włosy, ktoś za dłoń.

Byłam lalką podawaną z rąk do rąk. Chciałam płakać, krzyczeć, walić nogami o podłogę. Ale z moich ust wydobywał się chichot. Histeiczny śmiech, którego nie umiałam opanować. W pewnym momencie zobaczyłam kapitana. Ledwo się trzymał na nogach, ale policzek, który mi wymierzył, był dostatecznie silny. Uspokoiliam się

natychmiast.

— Jola, drzwi! — usłyszałam jego głos. Ludzie, to był najspokojniejszy głos na świecie. — Cisza! Już po wszystkim!

Zobaczyłam przesuające się drzwi. I poczułam zapach, jaki wydziela ziemia po deszczu. Film się urwał. Były tylko dźwięki i zapachy. I kolory. Nie widziałam ani tych, którzy stali na zewnątrz, ani tych, którzy jak oszalałe stado owiec tłoczyli się w przejściu. Wącha-

127

ZATRZYMAJC

CHC

—Ty—powiedział postępując krok.

Czułam dziwną słabość w dolnej części brzucha. I na dodatek nic nie słyszałam.

Jakbym oglądała film pozbawiony ścieżki dźwiękowej. Usta mężczyzny poruszały się, wargi odsłaniały zęby, ale ja nic nie słyszałam. Nic oprócz narastającego szumu w uszach.

Rolex opacznie zrozumiał słowa swojego towarzysza. Puścił Nijakiego, który niczym rączkujące dziecko uciekał na czworakach wzdłuż przejścia aż na sam ogon samolotu. — Ona? Ją mam zastrzelić? A

fjif \ Krystyna Boglar—powieściopisarka

li u .. : Urodziła się 17 grudnia pod znakiem Strzelca, Ukończyła Filologię ".*!

*=" :.., I Orientalną na Uniwersytecie Jagiellońskim. Debiutowała opowia-f!?;

V%|| i daniami dla rozlicznych pism młodzieżowych oraz książkami dla T-" ' 'E\$f\

i dzieci. Uprawia różne formy i gatunki wypowiedzi artystycznej. Ma

.....? * | w swoim dorobku słuchowiska radiowe, scenariusze do filmów ani-

—^ -|| -•!"| -!" : • ' mowanych i fabularnych.

\ak przede wszystkim autorką licznych powieści obyczajowych. Ich młodzi i dorlW

bohaterowie są nakreśleni wyraziście, akcja toczy się żywo. Krystyna Boglar jest

mistrzynią w odmalowywaniu niepowtarzalnego klimatu i szalenie autentycznej

atmosfery opisywanego środowiska. Kilka powieści Krystyny Boglar stało się

bestsellerami literatury młodzieżowej: Supergigant z motylem, Zatrzymajcie

świat, chcę wsiąść!, Lot nad Pawilonem X, Kolacja na Titaniku. _

|ISBN83-71fi2-r>80-4

9 788371 625800 >